Cena 5 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

HISTORIA UCZY, ŻE NIEMCY UMIEJĄ SZYBKO ODBUDOWAĆ SWOJĄ SIŁĘ. WYSTARCZY 20 LAT A NIEMCY ZNOWU MOGĄ ODRODZIĆ SWOJĄ SIŁĘ I ZAGROZIĆ NAM WOJNĄ

STALIN

Rok I **Łódź, 23 grudnia 1945 r.** **Nr 17**

MIECZYSŁAW WIONCZEK

Berlin, w listopadzie

Wielka improwizacja

Zima wisi nad Berlinem. Wieczorem wyłączono w Charlottenburgu światło i gospodyni uprzedza, że rano gorącej kawy nie będzie. Pod kuchnią nie pali się od dawna, bo nie ma czym. Węgiel? Ma nadejść, kiedy nie wiadomo. W strefie radzieckiej na Alexanderplatz widziałem wczoraj ogonki przy dwóch samochodach z brykietami. Niespodziewany przydział z okazji rocznicy rewolucji październikowej — po dwadzieścia kilo brykietów na osobę. Mieszkańcy innych stref Berlina patrzą na szczęśliwców z zazdrością. Zazdrość szybko minie, bo już jutro rachunek może zostać wyrównany, jeśli Amerykanie z racji jakiegoś swego święta dawać będą mydło czy konserwy. Tym niemniej te przydziały i podarki nie wystarczają na to, aby mieszkaniec Berlina mógł najeść się do syta, czy ogrzać należycie mieszkanie. Tym więcej trzeba pracować, aby sytuacja gospodarcza miasta i całego kraju zaczęła się widocznie poprawiać.

Wszystko zależy od twojej pracy — głoszą plakaty na rogach berlińskich ulic. Związki zawodowe wzywają w dziennikach swych członków do bezpłatnej dodatkowej pracy nad odbudową Berlina. Mimo nadającego od szeregu dni przenikliwie chłodnego deszczu kolumny robocze pracują na [illegible] kilkaset metrów z niemiecką gruntownością. Miasto nie tylko niepodobne jest do Berlina z dni kapitulacji, ale zmieniło się wiele w ciągu dwóch miesięcy, jakie minęły od mej ostatniej w nim wizyty. To, co czyta się codziennie w gazetach o postępach prac nad uprzątaniem miasta, nie jest przesadą ani reklamą. Berlin rzeczywiście pracuje nad usunięciem śladów wojny. Pracuje wydajnie. A w miarę wykonanych robót okazuje się, jak daleko było do zaorania stolicy Rzeszy. Oficjalnie ogłoszono przed kilku dniami, że zniszczenie miasta wynosi dwadzieścia pięć procent. To są rzeczy do odrobienia, do odrobienia znacznie szybciej przy tym tempie prac, niż można się było tego na wiosnę spodziewać. Na Boże Narodzenie — czytam dzisiaj w „Allgemeine Zeitung" — „Unter den Linden" będzie całkowicie uporządkowana. A wyglądała w maju potwornie.

Nie tylko w byłej stolicy, ale i na prowincji, na wschodzie i na zachodzie wymiata się gruzy, sortuje stare cegły do budowy nowych domów, odbudowuje dworce i mosty z dużą energią. Od dziesięciu dni można już wysłać list do Kolonii i otrzymać kartę pocztową z Hamburga. Na dodatkach filmowych pokazuje się kilkunastoletnich chłopaków, pracujących przy remontach budynków szkolnych, w których mają się uczyć. Na uniwersytet berliński przyjmują tylko po przepracowaniu pewnego czasokresu przy renowacji gmachów uniwersyteckich. Tak jest w Berlinie, tak jest podobno w Jenie i Heidelbergu.

Przedwczoraj powrócił z Lipska kupiec tekstylny z przeciwległej kamienicy. Jeździł po żonę i przy okazji odwiedził pierwszą po wojnie wystawę przemysłową — Leipziger Musterschau, kontynuację dawnych Targów Lipskich. A że jest zapamiętałym filatelistą, przywiózł stamtąd kopertę z nowymi znaczkami pocztowymi, opieczętowaną dawnym stemplem — Leipzig — Reichsmessestadt. Miniaturowe targi zgromadziły kilkadziesiąt firm przemysłowych. Wystawiano jakieś garnki, wykonane z aluminiowych szczątków byłej Luftwaffe, pantofle damskie z niedawnych płaszczów wojskowych i wiele najprzeróżniejszych drobiazgów, jakie tylko tutaj ludzie prawie z niczego zrobić potrafią. Ale ciągłość tradycji gospodarczych została utrzymana — mimo dna klęski Targi Lipskie, choć miniaturowe i żebracze, odbyły się jak co roku i o te tradycje chyba ich organizatorom — zarządowi miasta Lipska, urzędującemu wśród gruzów, najbardziej chyba chodziło.

W przypadkowo nawiązanej rozmowie jakiś starszy Niemiec usiłował mi to tak wyjaśnić: Widzi pan, my Niemcy żyjemy, aby pracować, a nie pracujemy, aby żyć, jak inne narody! I całą naszą tragedią jest to, że tę naszą zaletę umiano zawsze „von oben" wykorzystać dla swoich celów. Co przy naszej narodowej głupocie politycznej nie była to sprawa trudna. Jej owoce spożywamy teraz na ruinach. A ponieważ wiele czasu upłynie, zanim nauczymy się myśleć jednostkowo, drogi, którymi pójdą Niemcy wytyczone mogą być przez zwycięzców. Naród przyzwyczajony jest słuchać, a pracować potrafi. Tylko nie można pokazywać zbyt wielu dróg naraz.

Rzeczywiście, gdyby mierząc tempo przebudowy społecznej i moralnej Niemiec tempem odbudowy życia gospodarczego, możnaby wpaść w niebezpieczny optymizm. Z tego bowiem, co widzi się na ulicach Berlina i innych miast, wnioskować można, że za pięć lat ślady wojny oglądać się będzie bądź na totalnie zniszczonych obiektach, bądź na fotografiach. Już bowiem sześciomiesięczny maquillage, robiony umiejętnie, zmienił wiele.

Jeden z wizytujących niedawno Berlin polskich publicystów słyszał jak zwolniony z niewoli żołnierz pocieszał mieszkankę Berlina słowami: „Kopf hoch! Głowa do góry!" Byłoby przesadą twierdzić, że słowa te możnaby uczynić mottem korespondencji z Niemiec. Właśnie prasa berlińska robi półroczny obrachunek sumienia, zarówno na szpaltach gazet, wydawanych przez władze okupacyjne, jak i w dziennikach partyjnych. Ton jego jest raczej minorowy. Wszędzie chodzi o jedno: „um die allgemeine Lethargie des Volkes, die sich hemmend auf Wiederaufbau auswirke".

Gdzieś pod ziemią wśród członków tych kręgów, z jakich formowały się w czasach Wersalu pierwsze bojówki faszystowskie, tłuką się jeszcze idee rewanżu i pokonane mity. Tu u góry niewielkie grupki demokratów, którzy cudem przeżyli kataklizm, usiłują przygotować teren pod nowe Niemcy. Bardzo suchotniczo wyglądają te próby odbudowy demokratycznego życia politycznego. Ale pomiędzy tymi dwoma biegunami, a raczej pomiędzy tymi dwoma cienkimi błonami żyje olbrzymie zbiorowisko ludzkie, które niewiele wyciągnęło wniosków z drugiej przegranej wojny. I nadal powstrzymuje się od myślenia. Nie jest to nawet postawa wyczekująca, bo wyczekiwać nie ma czego, ale stan oszołomienia po klęsce, za którą według najgłębszego przekonania Muellerów i Schmittów ponoszą winę norymberscy więźniowie, i — zupełny brak zdolności do samodzielnego myślenia.

Nie są to, jak chciałby niejeden mieszczański berliński publicysta, pozostałości ostatnich dwunastu lat, ani nawet lat trzydziestu. To nie jest jedynie dziedzictwo hitleryzmu ani wilhelminizmu. To jest wynik systemu, zwanego „Preussentum", działającego w wielu wydaniach w ciągu szeregu ostatnich pokoleń nie tylko w bliższej i dalszej okolicy Brandenburgii, ale w całym kraju od Renu i Jury do Odry i Warty. „Preussentum" nie było tylko systemem wskazań politycznych, ale systemem społecznym i gospodarczym i wychowawczym, który musiał się załamać, a właściwie zostać złamany, ponieważ nie mógł współistnieć z innymi systemami, zsynchronizowanymi z rozwojem społeczno-politycznym świata.

Jeśli jest coś w dzisiejszej rzeczywistości, co pozwala nam odetchnąć nieco, to fakt, że Krupp i towarzysze wreszcie odeszli i że plakaty na ulicach wschodnio-niemieckich miast głoszą: „Junkerland in Bauernhand" — Ziemia junkrów w rękach chłopów. Bo to jest likwidacja filarów wszechniemieckiego od stulecia prusactwa, bez istnienia których żadnemu z proroków Mittel-Europy nie udałyby się jego plany. Likwidacja wychowawców i mecenasów gospodarczego, społecznego i duchowego prusactwa, to jedno z najważniejszych remediów na niemiecką chorobę. Cóż, kiedy kuracja przebiega w różnym tempie w różnych strefach Niemiec, a na północo-zachodzie nawet jej nie rozpoczęto. Tym bardziej „der kleine Mann" długo jeszcze nie będzie wiedział, jak się zachowywać w nowych warunkach. Nie reaguje na słowa „Kopf hoch!", nie wie, czy obrócić głowę w prawą czy lewą stronę. Zmysłu orientacji w świecie i umiejętności samodzielnego myślenia nie można posiąść z dnia na dzień.

DO ŹRÓDEŁ KLĘSKI

Kiedy po pierwszym pobycie w Berlinie wyrażałem swe wątpliwości co do realizacji demokracji w Niemczech, dwaj ludzie z różnych całkiem środowisk replikowali w następujący sposób: „Znając Niemców, można by nie mieć obaw o nowy ustrój. Sprawa zdemokratyzowania Niemiec przy ich zdolności do powtarzania nauczonych lekcji sprowadza się do przygotowania odpowiednich kadr trenerów. Najważniejsze jest, aby ci trenerzy posiadali zdolności oratorskie i wytrwałość. Reszta przyjdzie sama".

Tego samego zdania jest pewnie niejaki Herr Hauer, reklamujący szeroko po Berlinie swój „Instytut kształcenia mówców", czynny — co przeczytać można na wielkich plakatach — od dwudziestu lat i mający w dorobku wspaniałe wyniki. Ale ponieważ w ciągu ostatnich dwudziestu lat wspaniałe wyniki oratorskie mieli tylko prorocy spod znaku „kulawego Józefa", więc atuty uczelni pana Hauera są wątpliwej wartości. Natomiast forma reklamy wydaje się być charakterystyczną dla stylu myślenia milionów Hauerów, który nie zmienił się wiele, mimo usunięcia insygniów skompromitowanej Trzeciej Rzeszy.

Nikt zresztą z poważnie myślących Niemców nie obiecuje sobie wiele po treningu przy użyciu zastrzyków demagogii. Trzeba dogrzebać się do źródeł klęski i wyciągnąwszy z analizy wnioski, zastosować kurację może trudniejszą, ale rokującą rzeczywiste wyzdrowienie, pacjentowi. To poszukiwanie korzeni klęski jest pracą uciążliwą wobec grubości pokładów, które usunąć przy tym należy. Skoro śledzi się uważnie prasę dzisiejszych Niemiec, to widać doskonale, jak pogoń za ostatecznymi przyczynami klęski narodu i klęski państwa jako systemu prowadzi coraz dalej w głąb historii. Zaczęło się po prostu, jak zawsze, od „chronique scandaleuse" byłych bożyszcz, kiedy na łamach pierwszych numerów dzienników i w mowach pierwszych demokratycznych polityków te rozgromiono i odarto z „cnót", okazało się, że „etwas steckt dahinter". Za rokiem 1933 są wydarzenia roku 1923 i 1918. I trzeba było się dobrać do legendy o Hindenburgu jako wielkim wodzu i mężu stanu, do legendy „ciosu w plecy", zadanego walecznym armiom w dniach „zwycięskich" ofensyw Ludendorffa. A kiedy i to piętro kunsztownej historycznej budowli zawaliło się, paść musiało pytanie nie tylko o Sarajewo, ale i o Agadir. Dalszy tok porachunków z „utraconymi czasami wielkości" to kolejne odwijanie zwojów taśmy, na której pamięć ludzka rejestrowała wydarzenia, które jeszcze do wczoraj wydawały się przeciętnemu Niemcowi stopniami ku górze, a w rzeczywistości prowadziły konsekwentnie w przepaść.

Rozstanie się z galerią uwielbianych wielkości politycznych nie jest sprawą prostą. Toteż myśl zwykłego obywatela długo się jeszcze bronić będzie przed akceptowaniem detronizacji Bismarcka, który dzisiaj, kiedy patrzy się nań z dna klęski, widać, jak pełen był zarodków naszych czasów.

Po rozprawie z rokiem 1871 przychodzi kolej na rok 1848, a wtedy widać, że jest on wynikiem wydarzeń 1813 i że galeria wielkich — jak się dotąd wydawało następców Fryderyka Wielkiego przecieka po prostu przez palce.

To co się dzisiaj czyta, to co się słyszy od garstki myślących ludzi w morzu automatów, to początki generalnej rewizji historii Niemiec, która musi nadejść, jeśli demokracja ma wreszcie stać się udziałem tego narodu. Kiedy rozmawiam z dwoma intelektualistami niemieckimi, z których jeden spędził lata pogardy na zachodzie — w Genewie i Paryżu, a drugi w Moskwie, mimo różnic między „idealistische und marxistische Einstellung" obu rozmówców, zgadzają się oni co do jednego — identycznie analizują historię Niemiec. Jeden mówi o kolejnych sytuacjach duchowych i formacjach psychologicznych, drugi używa terminów ekonomiczno-społecznych. Ale dla obu jest jasne, że ostateczną przyczyną piramidalnej głupoty politycznej narodu niemieckiego, wykazanej dowodnie w przeciągu ostatnich pokoleń, i wszystkich jego klęsk jest brak w dziejach Niemiec rewolucji. Jeden mówi o rewolucji duchowej, drugi o rewolucji społeczno-gospodarczej. W gruncie rzeczy chodzi im o jedno i to samo. O to, że nigdy w Niemczech nie załamał się sztywny system, budowany „von oben". I obaj wywołują nazwisko Tomasza Münzera, bohatera wojny chłopskiej, jedynej nieudanej zresztą rewolucji społecznej w dziejach Niemiec.

Człowiek niemiecki jest nawskroś niedemokratyczny, człowiek niemiecki bez sprzeciwu realizuje swym postępowaniem niewolniczą zasadę „Befehl ist Befehl", człowiek niemiecki jest tak tragicznie głupi politycznie, bo w dziejach Niemiec zabrakło miejsca na rewolucję społeczną. Anglia przeżyła rewolucję w XVII wieku, Francja — zburzenie Bastylii i Robespierre'a, Ameryka — walkę o niepodległość i przemiany społeczne wojny secesyjnej, Rosja — rewolucje październikową. U nas — powiada mi jeden z rozmówców — wszystko zaczęło się i skończyło na Tomaszu Münzerze. A potem było tylko przekazywanie władzy z rąk do rąk królów i książąt, generałów i kapitanów przemysłu. I budowanie zawsze państwa

JULIAN PRZYBOŚ

Gwiazda sroddzienna

Ujrzę gwiazdę w dzień — szczyt lotu —
nim powietrze zdąży wrzasnąć!
Samolotu bojowego topór
z obłoków
rąbnął na czołg.

Ostrzem wzlotu na sztorc
rozpruł
powłokę dnia: jasność.
Wtedy w zawrocie prześcigniętego przez
samolot wzroku
jakbym samymi oczodołami dojrzał
ponad dniem — noc.

A ciął w dół, ciął w górę i rozbłyskiem
cios znaczył
myśliwski:
sprężynowy nóż powietrza.

Pomknął lżej jakby obłok zawieszał —
z gwiazdą
wyzwolonego przestworza.

Gwoźnica, lipiec 1944

Linia powietrzna

Linią powietrzną najbliżej
ze wspomnienia do wspomnienia wrócić.

Już horyzont skłonił się i zniżył,
bez gór — jakbym skrzydła złożył
i uciekł,
kraj upadł mi nizinnie do stóp.

Niebo po locie aż do ziemi niskie
i rozstajna równina rozdroży.
Gwiazda spadła na pamięć ziemi:
na grób;
świeci — drogowskaz pobojowiska.

Ale w lesie, malowanym tej jesieni
pędzlem deszczu na palecie tęczy,
echo armatnie drzewa obalone liczy.
Na pozostałych po pociskach
trajektoriach — ciszach
przelatuje Nike,
pióro błyska.
Nad frontem zniknym
wspominam napowietrznej walki
towarzysza.

Lublin, wrzesień 1944

„von oben nach unten", a nie odwrotnie. Feudalna hierarchiczność, która karykaturyzowała się wskutek starzenia się. Jesteśmy narodem, który najdłużej został feudalnym, nawet po przejściu do ustroju kapitalistycznego. Junkrowie i członkowie kiilkunastu rodzin panujących wykazali w ciągu XIX wieku znakomitą umiejętność przystosowania się do rozwoju gospodarczego kraju, który w niczym nie zamącił istniejącego porządku społecznego. Ta martwa bezrewolucyjność dziejów Niemiec, to najgłębsza przyczyna naszej klęski. Rewolucja 1918 roku znów była rewolucją suchotniczą, była „ersatzem", który musiał zawieść w obliczu długotrwałego systemu, wychowującego naród zawsze i niezmiennie „von oben".

Trudno nie zgodzić się ze słusznością rozumowania ludzi, odszukujących pośród dzisiejszych ruin ich przyczyn. Nie tylko Hitler, i Hindenburg i Bismarck, ale właśnie feudalizm „Preussentum" jako system, w którym żył naród niemiecki od pokoleń — doprowadziły do tak bogatych we wzruszenia przeżyć, jakie miała Europa. Potworna siła wybuchowa hitlerowskiego nihilizmu, przekraczająca rozmiarami i natężeniem wszystkie inne faszyzmy europejskie, jasna jest dopiero w świetle społecznej historii Niemiec. Jak równie jasna jest jego powszechność i słabość wewnętrznego odporu, nie mająca równej nigdzie.

Czy to grzebanie się w przeszłości nie jest chęcią zrzucenia z obecnego pokolenia odpowiedzialności za wyczyny ostatnich dwunastu lat — możnaby zapytać podejrzliwie. Czy wskazywanie palcem na junkrów i na banki i koncerny, nie jest przypadkiem odwracaniem uwagi od małego „Parteigenosse", który nie tylko maszerował i strzelał, ale i mordował na zimno? Chyba nie. Jest tylko zróżnicowaniem stopnia odpowiedzialności i wykazywaniem trudności, jakie stoją przed tymi, co pragną rzetelnej demokratycznej przebudowy Niemiec. Albowiem pisze czołowy pisarz dzisiejszych Niemiec, Johannes Becher, przewodniczący „des Kulturbundes zur demokratischen Erneuerung Deutschlands" — że było by potwornym samookłamywaniem przyjęcie, że „der Aufbau Deutschlands wäre vorwiegend eine wirtschaftliche, eine technische Angelegenheit, und es genüge, die Lebensmittelversorgung zu ordnen, den Verkehr in Gang zu bringen, die Schutthaufen fortzuräumen und neue Gebäude zu errichten". Albowiem jest to sprawa przede wszystkim przebudowy społecznej i moralnej całego narodu.

„MORALISCHE WÜSTE"

Żyjemy na moralnej pustyni — oświadczył jeden z mówców na zebraniu socjalistów w dzielnicy Wilmersdorf. Żyjemy na moralnej pustyni — powtarzają to wszyscy głębiej patrzący ludzie. Świadczy o tym nie tylko masowa prostytucja niemieckich kobiet, nie tylko jałowość i tępota nieprzeliczonych Müllerów i Schmittów, ale trudność zmontowania jakiegokolwiek poważniejszego frontu odbudowy. Nie ma ludzi, nie ma nazwisk, którymi możnaby sygnować akt erekcyjny gmachu nowych demokratycznych Niemiec.

Emigracja zachodnia nie powróciła jeszcze i kiedy powróci, nie wiadomo. Zresztą — zauważył ktoś z doskonale zorientowanych — i części ludzi, którzy spędzili ostatnie lata w Anglii i Ameryce, można by postawić wiele zarzutów. Są tam ludzie, którzy jeśli poszli na emigrację, to nie przez nieprzyjaźń dla systemu, ale że system ich odepchnął; są tam ludzie, którym nie odpowiadały metody, ale którzy nic nie mieli przeciwko celom międzywojennych Niemiec. Są tam i tacy, co nie wrócą — jak Thomas Mann i garstka intelektualistów w Ameryce. Jeśli chodzi o tzw. „wewnętrzną emigrację", a więc ludzi, którzy zostając w kraju odgrodzili się wewnętrznie od systemu, to różnie z nią bywało. Takich wypadków jak Ernst Gläser, pacyfista i antyfaszysta, który przywdział w roku 1939 znienawidzony mundur bez słowa protestu, było więcej.

Ostatecznie prowadzi to do tego, że jakkolwiek na otwarciu „Kulturbundu" w Berlinie w lipcu, Bernhard Kellermann oświadczył, że „nie tylko obecność Nazich byłaby sacrilegium, ale wykluczeni być muszą i ci, którzy z systemem paktowali bądź kokietowali go", na tym samym zebraniu odczytano list powitalny Eduarda Sprangera, filozofa o światowym nazwisku, a czasu wojny współpracownika działu „Kultur und Wissenschaft" w „Das Reich" i można było usłyszeć przemowę Paula Wegenera, którego jeszcze niedawno oglądać mógł każdy w filmach, opartych na motywach „Blut und Boden" i „Kraft durch Freude".

W poprzednim 16 numerze „Kuźnicy" z dnia 16 grudnia 1945: Stefan Żółkiewski – Przechadzka filozoficzna po księgarniach londyńskich. Józef Wittlin – Do języka polskiego – Na sądny dzień. Ludwik Hering – Zieleniak. Edward Szuster – I ziemia go przytuli. Adam Szaff – Ks. Piwowarczykowi w odpowiedzi. Bolesław Dudziński – Kolorowi ludzie. Jan Szczepański – Nauka i metafizyka. Rozmaitości – Dwa razy dwa. – Adam Ważyk. Kronika teatralna – Dwa widowiska – Juliusz Żuławski – Pan Jowialski – bd. Przegląd prasy – ph. Noty.

Wszystko to wzbudzić może nie tylko zdziwienie i niesmak, ale i słuszne podejrzenia. Tym bardziej, że październikowy numer miesięcznika „Der Aufbau", organu „Kulturbundu" obok rzeczywiście demokratycznych i antyfaszystowskich nazwisk i wypowiedzi przynosi posłanie od Gerharda Hauptmanna, sygnowane — Agnetendorf in Schlesien, im Oktober.

Zapytałem o to jednego z redaktorów pisma wprost — czy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że nikt znający Niemcy, nie będzie brał waszych wypowiedzi na serio przy takiej polityce personalnej. Samego Wegenera można by jeszcze strawić, ale Wegener, Spranger i Hauptmann razem, to zawiele jak dla uczciwego zagranicznego czytelnika. Czy nie wyjaśnia to rezerwy Thomasa Manna, który nie chce wrócić do kraju. Odpowiedź była wstrząsająca w swej prostocie, jeśli uwierzyć w dobrą wolę odpowiadającego. „Jeśli nie mamy być dziesięcioosobowym tworem bez znaczenia, jeszcze jednym związkiem bilardzistów czy hodowców kanarków, musimy przyciągać ludzi, którzy mają jakieś usprawiedliwienie, bądź takich, których bagno nie potrafiło całkowicie wchłonąć. I którzy mają nazwiska, mówiące coś zwykłemu czytelnikowi gazet. W wypadku Hauptmanna jest to nie tylko zamierająca wielkość naszych czasów, ale autor wielkich arcydzieł społecznych sprzed lat kilkudziesięciu. Hauptmann osiemdziesięcioletni z „czasów pogardy" jest pisarzem skompromitowanym, ale poza nim jest jeszcze autor „Tkaczów". A literatura niemiecka czasu imperializmów jest zbyt uboga społecznie, moralnie i artystycznie, aby przejść nad połową twórczości Hauptmanna do porządku dziennego. Oto dlaczego drukujemy posłanie Hauptmanna".

W Norwegii wielki współczesnik Hauptmanna — Knut Hamsun, siedzi w więzieniu, list Gerharda Hauptmanna drukuje się w nowym, demokratycznym niemieckim świecie. Tak właśnie wygląda pustynia moralna, jaką stały się Niemcy współczesne. Po dokładnym czyszczeniu stajni Augiasza, hulałby tylko po niej wiatr. „Totalna rewolucja" zrodziła „totalny rozkład". Nie naprawią go dziesiątki scenek, teatrzyków, kin, wyrastających z dnia na dzień na wszystkich ulicach Berlina. Jakkolwiek opowiadane tam „witze" są bardzo demokratyczne i bardzo „antyfaszystowskie".

FRONT „JEDNOLITY"

W każdym kiosku ulicznym Berlina nabyć można za kilkadziesiąt fenigów niewielką broszurkę, zawierającą programy polityczne czterech partii, wchodzących w skład „Einheitsfrontu" w radzieckiej strefie okupacyjnej. Bardzo to fair ze strony gór partyjnych, że zgodziły się na wspólną publikację. W drugiej części książeczki zestawiono fragmenty czterech programów kwestiami, tak, aby leniwy czytelnik mógł w mgnieniu oka, korzystając z załączonego registru, znaleźć odpowiedzi na interesujące go kwestie. Co np. sadzą KPD., SPD., chrześcijańscy demokraci i liberalni demokraci o militaryzmie, prawodawstwie, reformie rolnej, roli prasy, problemach rasowych, wychowaniu itd.

Dokładna lektura tej skromnej broszury wyjaśnia całkowicie, ujawniające się od jakiegoś czasu rysy na budowli „jednolitego frontu", zmontowanego przed czterema miesiącami. O ile partie robotnicze przemawiają językiem jasnym i niedwuznacznym, to chrześcijańscy i liberalni demokraci w znacznie łagodniejszej tonacji rozprawiają się z przeszłością. Oto kiedy i KPD i SPD wyraźnie mówią o współwinie całego narodu za zbrodnie hitlerowskie, „Unia chrześcijańsko-liberalna" nie cofa się przed ciepłym ukłonem w stronę „idealistycznie nastawionej młodzieży niemieckiej, która oszukana przez wodza, biła się za ojczyznę, nieświadoma zbrodniczych planów przywódców". Jeśli jest to zwrot taktyczny, to niezbyt szczęśliwą nadano mu formę. Wolno jednak raczej przypuszczać, że są to nawyki myślowe stare jak pruski świat, od których nie potrafił się jeszcze odzwyczaić przewodniczący partii chrześcijańsko-liberalnej. Czyż nie ta sama „idealistycznie nastawiona młodzież" szła na front z entuzjazmem w dniach Sarajewa, a po klęsce 1918 pod wodzą von der Goltzów i Heydebrecków rozgramiała „wrogów narodu" na granicach państwa i w jego wnętrzu. O istocie „idealizmu" młodzieży niemieckiej Europa ma prawo i obowiązek mieć swoje własne zdanie, wyrobione na podstawie długich bolesnych doświadczeń.

Różnice idą dalej. Dotyczą i przyszłości, nie tylko przeszłości. Stają się poważne, gdy chodzi o reformę rolną, dokonywaną tu na wschodzie właśnie dzięki KPD i SPD, a dziwnie zaniedbanej między Łabą i Renem, gdzie demokratyczno-mieszczańskie partie rej wodzą; są dość znaczne odnośnie stosunku do problemów wychowawczych, stają się wyraźne, gdy chodzi o formy gospodarki przemysłowej. Zwykłe spory światopoglądu liberalnego z socjalistycznym.

Ale ponieważ liberalizm niemiecki z czasów weimarskiej republiki dziwną miał zawsze słabość do „idealistycznie nastawionej młodzieży" spod znaku Reichswehr, Stahlhelmów i Orgeschów, nasza powściągliwość wobec nowych jego wcieleń jest całkiem usprawiedliwona. Nieusprawiedliwona za to jest bezgraniczna wiara weń zachodnich zwycięzców, znacznie pobłażliwszych dla narodu niemieckiego od jego własnych uczciwych sędziów, usiłujących dotrzeć do źródeł klęski.

Daje to w wyniku zestawienie niespodziewane całkiem — pesymizm nielicznych myślących Niemców, oceniających sytuację określeniami „eine moralische Wüste, ein moralisches Trümmerfeld" i oświadczających, że wiele lat jeszcze nie będzie można pozostawić Niemców sam na sam ze sobą i — optymizm zwycięzców spod Avranches, przechodzący czasami nawet w wyskoki generała Pattona i mowy obrońców z procesu przeciw zbrodniarzom w Lüneburgu.

Tak tedy nad wyraz już skromne siły demokracji niemieckiej ulegają dalszemu rozproszkowaniu. „Meinungsverschiedenheiten", klajstrowane zręcznie voltami mówców na międzypartyjnych wiecach wcale nie maleją. Na zachodzie w strefach alianckich partie polityczne rosną jak grzyby po deszczu: w Turyngii jest ich już sześć, w Bawarii osiem czy dziewięć. Jeśli są to twory o zamaskowanych zamiarach, tym lepiej, że ulegają rozpadowi, ale jeśli rzeczywiście założycielami ich są ludzie dobrej woli, złe to prognostyki dla przyszłej demokracji niemieckiej, skoro tylu w niej będzie wychowawców i kaznodziei. Perspektywy demokracji weimarskiej nie są zachęcające ani dla niemieckich polityków, ani dla otaczającego Niemcy świata. Zwłaszcza przy starych nawykach milionów ludzi, którzy ze słabości demokracji chętnie kuć będą przeciwko niej oręż.

„ERZIEHUNG ZUR DEMOKRATIE"

Jeszcze jedno hasło, jeszcze jeden slogan, którym żongluje się aż do znudzenia. Może właśnie dlatego, że nie ustalono jeszcze, jak się do tego wychowania zabrać — ani na górze u zwycięzców, ani na dole wśród pokonanych. Mimo że od zwycięstwa minęło już sześć miesięcy i, mimo że jasne jest, jak wiele jest do zrobienia, kiedy przedmiotem wychowania ma być tak „undemokratisch" i „unpolitisch" naród. Wielka improwizacja trwa dalej i nic nie wskazuje, aby miała sie skończyć dziś czy jutro. Chociażby dlatego, że słowo „demokracja" stało się bardzo wieloznaczne.

„Die kleine Pgs", jak z ironią się dzisiaj określa osiem milionów ludzi, którzy byli zwykłymi członkami partii, nie bardzo tedy wiedzą, jak się zachowywać. Jedno jest tylko wiadome, że urąganie byłym bożyszczom nic nie kosztuje, a jest mile widziane. Urąga się im tedy na potęgę. I czyta codziennie gazety, aby jakoś rozeznać się w nowej sytuacji.

Lektura berlińskich gazet, wydawanych we wszystkich strefach, niewiele może wprowadzić ładu w głowy ludzkie. Bo oto jednego i tego samego dnia dowiedzieć się można, że jedna z wysokich okupujących stron jest zdania, że naród niemiecki dorósł po sześciu miesiacach do tego, aby sam sprawował nad sobą władzę cywilną, a inna wysoka strona twierdzi, że wiele czasu upłynąć jeszcze musi, zanim można będzie pozwolić na podobny eksperyment. A już gdy w dwu gazetach, kupionych w jednym kiosku wyczytać można tak przeciwne sądy, że 1) cały naród niemiecki ponosi odpowiedzialność za wydarzenia „czasów pogardy" i że 2) „członek załogi obozu koncentracyjnego, działając zgodnie z rozkazem, nie jest właściwie winien", mały Parteigenosse powinien być zakłopotany. I jeśli ma odrobinę rozsądku i cynizmu, rzuci w kąt gazetę pierwszą i zaprenumeruje drugą.

W angielskiej strefie Berlina rozlepione są olbrzymie afisze z główkami uśmiechniętych dzieci i podpisem „Aktion Storch". W kinach tej strefy wyświetla się dodatki filmowe z „Aktion Storch". Całe kolumny dziennika „Der Berliner" zapełnione są opisami z „Aktion Storch". W tramwajach i kolejce podziemnej słowa te słyszy się także nagminnie.

„Aktion Storch" to kolonie zimowe dla berlińskich dzieci z angielskiej strefy miasta, zorganizowane w północno-zachodniej części Rzeszy — w Oldenburgu i Fryzji. Powrócą do domu w maju, wypoczęte po trudach drugiej wojny światowej, tak nieszczęśliwie przegranej przez ich ojców. Akcja przebiega „pünktlich" i „planmässig". Nie zapomniano o wygodnych autobusach, o solidnym odzieniu i wyżywieniu. Kontynuacja „Kinderlandverschickung", tylko ze zmianą chorągiewek na autach, którymi przewozi się dzieci. **We are human.** Are we not? A gdyby ktoś zapytał, dlaczego dla niedożywionych dzieci Francji, Belgii, Holandii, Polski czy Jugosławii nie organizuje się „Aktion Storch", organizatorzy odpowiedzieliby chyba, że dzieci tych krajów wystarczająco są demokratyczne, aby trzeba było je w ten sposób wychowywać do demokracji.

Inne metody stosuje się wobec dzieci, inne wobec dorosłych. Dla dorosłych przeznaczone są chyba mowy obrońców w procesie lüneburskim, przedrukowane w dużych wyciągach w „Berlinerze" obok sprawozdań z „Aktion Storch". Najdoskonalszy wymiar sprawiedliwości świata delikatnie obchodzi się z największymi tego świata zbrodniarzami. Ale „kleiner „Pgs" nie zastanawia się nad różnicami sądownictwa angielskiego i nazistowskiego, nie analizuje przyczyn, dla których nawet wobec zbrodniarzy należy być „fair". Do małego Parteigenosse przemawiają tylko nagie zdania z mów obrończych. Takie jak: „Oskarżony postępował podczas selekcji w obozie zgodnie z poleceniami swoich przełożonych i winić za jego czyny można tylko system i ustawodawstwo, które na nie pozwalało, a nie wykonawców" bądź „oskarżony nie mógł odmówić spełnienia rozkazów, a nawet gdyby to zrobił, nicby to nie wpłynęło na funkcjonowanie mechanizmu obozowego". Takich złotych myśli przeczytać można wiele. I niewątpliwie miliony małych Parteigenossen, którzy mają na sumieniu znacznie mniejsze przestępstwa od lüneburskich oskarżonych, wyciągają z takich lektur wygodne dla siebie wnioski. „Aktion Storch" w zestawieniu z procesem w Belsen podcina tedy u podstaw wszelkie próby uczciwego wychowania Niemców „zur Demokratie". W świetle tych wydarzeń działalność „Kulturbundu" i wszystkie artykuły o winie narodu niemieckiego nie mają żadnego sensu. A apologeci politycznej i wychowawczej linii Anglików, którzy chętnie w niej widzą „wiekowe doświadczenie" i politykę na długą metę, mylą się bardzo. Poszukiwanie doraźnych korzyści jeszcze raz może się zemścić, tak jak zemściło się na zwycięzcach z lat Wersalu.

*

Gorzkie są doświadczenia półrocznej okupacji Niemiec. Rozkład pokonanego narodu większy jest, niż można się tego było spodziewać. Między dwoma biegunami — garstką demokratycznych niedobitków i resztkami wyznawców „mitu XX wieku", którzy wciąż, choć milcząc, stoją przy przegranej sprawie, trwa milionowa masa ludzka, „undemokratisch" i „unpolitisch" od dnia narodzin, zdemoralizowana i zastygła w oczekiwaniu, z której strony zawieje korzystny dla niej wiatr.

Na tle rzeczywistości niemieckiej anno domini 1945, wielka improwizacja zwycięzców, z których każdy ma swoje recepty i swoje remedia na „niemiecką chorobę", wzbudza słuszny niepokój. Centralistyczne tendencje w strefie brytyjskiej, decentralistyczne w amerykańskiej, popieranie „frontu jedności" na wschodzie, wielopartyjności na zachodzie, różnice postępowania w stosunku do byłych „kleine Pgs", przeprowadzanie reformy rolnej przed Łabą i brak jej za Łabą, komedie lüneburskie i surowe wyroki w Bawarii i Brandenburgii — oto jej dotychczasowy plon.

Do mózgu szarego obywatela pokonanej Trzeciej Rzeszy, który nie potrafi zajrzeć pod pokrywę dziejących się rzeczy i wykonywanych przez zwycięzców gestów, docierają tylko wiadomości, które dla niego są wygodne i przyjemne. Cóż go może obchodzić, że gdzieś po drodze zagubiono to co najważniejsze — „Erziehung Deutschlands zur Demokratie".

Mieczysław Wionczek

SEWERYN POLLAK.

Powrót

Do wodopoju sosen schodziło się stado,
czujne korony poddając na wiatr —
domowa rzeka odbijała blado
ściany i gwiazdy spadającej ślad.

Z rybackiej wioski na przeciwnym brzegu
powiew przynosił zapach mgły i dym,
gołębie były tam bielsze od śniegu
i głębie w darze przynosił rym.

Latami sosny jak słupy przydrożne
szły i dzieliły mijające dni,
wstecz je policzyć — i powrócić można
pod namiot z mgły.

Noc snów wyzbyta. Śród nieba ogromu
Orion dziś wznosi gorejącą dłoń.
Śnieg chrzęści tylko, gdy z mojego domu
powracam w tamten opuszczony dom.
1943 r.

*

Jasna woda spływa ze skał,
jasna woda kamienie zrywa —
jasna skała trwała i trwa,
choć ją strumień powietrza opływa.

W górę rwie się skalisty zwał
i jak płomień chwieje się w górze,
płomień, który będzie się chwiał
tysiąc lat przez zamiecie i burze.

Człowiek niesie jak potok myśl,
myśl stulecia kruszy i skały,
i kształtuje się wedle nich,
i wydziera się blaskiem zuchwałym.

Przez epoki po progach gna
i jak wodny płomień w głąb ciecze,
aby zebrać w jasność dnia
doświadczenia i pieśni człowiecze.
1945 r.

MARIA FIDERER

Ilustrował H. Tomaszewski

Mgła nad Tamizą

Obrazy z National Gallery zostały wywiezione na czas wojny, zwłaszcza tzw. tutaj „blitzu", czyli okresu silnych bombardowań niemieckich. Teraz wracają jeden, po drugim i każdorazowo afisz zawiadamia liczną zawsze publiczność o powrocie jakiegoś arcydzieła. Niedawno przywieziono jeden z obrazów Renoir'a „Parasole".

Może mi się zdaje, a może we wszystkich obrazach impresjonistów (dość licznych, zwłaszcza w Tate Gallery), dziejących się w niezamkniętej przestrzeni, jest coś błękitnawego. I zieleń ma raczej odcienie liliowe i niebo rzuca jakiś cień błękitnawy na cały obraz, i światło nie jest ani żółte, ani czerwone, jak to bywa u malarzy szkoły flamandzkiej, tylko lekko przymglone.

Taki właśnie impresjonistyczny w kolorze jest Londyn. Londyńska mgła nie jest tylko kontynentalną plotką, ale autentyczną codzienną rzeczywistością, a raczej właśnie kontrastem z kamiennym ostrokątnym ogromem miasta.

Zaciera rysunki wież, kościołów i pomników, pozostawia tylko niewyraźną sylwetkę odległego Big Bena, wypełnia dalekie wyloty ulic błękitnie i nierealnie, tak, jakby wszystkie wielkomiejskie arterie, wypełnione huczącym mrowiskiem aut i zapobiegliwie biegających czerwonych autobusów, nie wychodziły na wielkie place i inne wielkie ulice, ale wpadały do Tamizy.

A Tamiza jest tylko gęściejszą i bardziej błękitną smugą mgły, w której roztapiają się i zacierają światła łukowych lamp, jak plamy na bibule. Mgła snuje się między drzewami Hyde Parku, potęguje jeszcze wrażenie rozległości, i zmniejsza jakąkolwiek możliwość wyobrażenia sobie tego miasta w jakichś konkretnych wymiarach i granicach. Mgła właśnie jest niebieskawa i tylko czasem, w pogodne przedwieczory, różowieje lekko i na krótko, jak „Ośnieżony Wersal" Camille Pissaro.

To zresztą dość emocjonalne i niewyraźnie zdefiniowane pokrewieństwo z impresjonizmem dostrzega się jeszcze także pod postacią jakiejś dziwnej zbieżności w czasie, który impresjonizm uchwycił w najpiękniejszych, najbardziej powabnych kształtach i barwach, a wielkie, kamienne miasto utrwaliło raz na zawsze w gmachach i niezbyt pięknych pomnikach.

Londyn wygląda tak, jakby cały wybudowano w okresie fin de siecle'u, nawet bardzo piękny gotyk Parlamentu i Westminster Abbey nie wyprowadza z błędu. Czasem tylko na bocznych, zacisznych uliczkach, square'ach, gardens'ach i crescent'ach spotkać można ślady wielkiej wiktoriańskiej epoki. Można trafić do zajazdu (dziś hotelu), w którym prawie na pewno zatrzymywał się pan Pickwick, albo do knajpy pod „Gwiazdą Północną", w której już zupełnie na pewno filozofował nad wazą ponczu, niezrównany znawca życia Tonny Weller. Miastu wyraźnie brak jego dyliżansu, Rolls Royce'y i Willis'y wyglądają tu obco i nieswojo, podczas kiedy taksówki są jeszcze ciągle śmiesznie i niemodnie wysokie, aby mogły pomieścić panów w cylindrach.

KONFRONTACJE I ROZCZAROWANIA

Tak się jakoś złożyło, że w hierarchii wartości, którą sobie stworzyło nasze mieszczaństwo, czy drobnomieszczaństwo, ta najtrudniejsza w Polsce do zdefiniowania, plazmowata grupa społeczna, która wypełnia restauracje i bary, dancingi i kościoły, czarną giełdę i pokoje urzędów — Londyn postawiony jest bardzo wysoko.

Mówi się o angielskich materiałach, angielskich chustkach do nosa, kapeluszach Lock'a, płaszczach burburry, tonem, który nakazuje bezwzględny szacunek, wyraża jakieś określone dążenie, którego celem jest posiadanie, ubieranie, i prezentowanie tych wszystkich rzeczy. Anglia jest symbolem jakiegoś wygodniejszego, lepszego życia, światowych rozrywek i nieograniczonych możliwości. Anglia z ilustrowanych magazynów „Vogue", z opowiadań kilkudniowych turystów, z plomb na kuponach materiału i hotelowych nalepek na neseserach ze świńskiej skóry.

Tymczasem... angielskie materiały i nieprzemakalne płaszcze burburry można kupić **tylko** na kartki, tzw. tutaj kupony. Takich kuponów otrzymuje się rocznie 48. Na ubranie trzeba 26, na półbuciki 8, na koszule 7, albo 5, na krawat 1, na chustkę do nosa 1, itd itd. Bez kuponów można dostać tylko laski i kapelusze, których zresztą światowej sławy Lock nie ma prawie wcale, ponieważ nie produkuje się. Ażeby kupić kapelusz, trzeba chodzić kilka dni i obejść kilkanaście sklepów. Sprzedają z zapasów, nowych rzeczy wyrabia się bardzo mało.

Wszędzie stoją ogonki. Do restauracji w porze lunchu, do sklepu z papierosami, do autobusu, do kina, już nie ogonki, ale ogony, długie na 70 kroków, po cztery osoby w rzędzie. Ogonki załatwiane są ogromnie sprawnie, szybko i grzecznie. Żywność jest ściśle racjonowana, dostaje się akurat tyle, ile trzeba, pod postacią margaryny, masła, konserw mięsnych, cukru, dżemu i czekolady, — ani trochę więcej. W restauracjach, które dostają przydziały, można oczywiście zjeść bez kuponów, ale jest to duża pozycja w budżecie londyńczyka.

Życie jest trudne i skromne. Dwugodzinną przerwę w południe zabiera całkowicie zjedzenie lunchu i poszukiwania po sklepach (nie zawsze uwieńczone skutkiem) jakiegoś najprostszego przedmiotu użytkowego, jak np. czajnika do kawy, albo pasty do zębów. Bo — rzecz dziwna i niepojęta dla wielbicieli angielskiej trzeźwości i zmysłu do interesów, w Anglii nie ma czarnego rynku, czyli po prostu pasku. Może właśnie dzięki niespotykanej prawie nigdzie dyscyplinie społecznej, zdumiewającej uczciwości i prawdomówności.

Oczywiście, gdzieś taki „black market" istnieje, ponoć na towary luksusowe, ale jest to w życiu gospodarczym Anglii zjawisko niewspółmiernie małe, leżące gdzieś na marginesie, lub nawet poza marginesem życia społecznego. Ludzie nie mogą zaopatrywać się na czarnym rynku, bo: po pierwsze i najważniejsze, to, co dostają w przydziale wystarcza na życie skromne, ale nie zmusza do biedowania, po drugie ich budżety nie wytrzymałyby takiego wstrząsu, jak zakupy na czarnym rynku, po trzecie, czwarte, itd. wskutek tej właśnie, niełatwej do materialistycznego wyjaśnienia, nienarzuconej żadną ustawą, niestrzeżonej przez żadną władzę administracyjną — dyscypliny społecznej, która zwycięsko wyszła z bardzo trudnego doświadczenia wojennego. Ta właśnie dyscyplina społeczna jest jedną z charakterystycznych cech angielskiej demokracji, jest wyraźnie przyczyna tego, że angielski „bobby" nie nosi w ogóle broni, ani nawet gumowej pałki, ponieważ rzadko się zdarza, aby ktokolwiek zakłócił porządek publiczny zwany tu od trzynastego, zdaje się, wieku, to znaczy od chwili, kiedy został ustanowiony „the paece of the king" (pokój królewski). Są tacy, którzy twierdzą, że jest to wpływ klimatu i bardzo niskiego ciśnienia, są inni, którzy uważają, że temperamenty ludzkie wyładowują się na drabinkowych mównicach w Hyde Parku, gdzie co niedzielę, koło Marble Arch, obok komunisty krytykującego w najostrzejszych słowach Rząd Jego Królewskiej Mości, drobny i chudy staruszek śpiewa psalmy i wymachuje cytatami z Ewangelii, jako przedstawiciel Ligi Ewangelizacji Londynu. Sądzę jednak, że przyczyny te leżą na płaszczyznach, powiedzmy, bardziej socjologicznych, nad którymi warto się będzie zastanowić.

Na razie wszakże ta niewyjaśniona dyscyplina pozwala rządowi na kontynuowanie wojennych warunków egzystencji, a nawet na dalsze

obniżanie stopy życiowej poprzez zlikwidowanie akordowych zarobków wojennych (jak to było w sprawie słynnego strajku robotników w dokach) i obcięcie racji przydziałowych.

WOJNA KOSZTUJE DROGO

Premier Attlee w swym przemówieniu wygłoszonym przed połączonymi izbami Kongresu amerykańskiego powiedział: „Nie po to walczyliśmy przez sześć lat, aby teraz miały nas pokonać problemy gospodarcze". Było to wyraźną aluzją do długich, skomplikowanych i pełnych rzeczoznawców rokowań o pożyczkę amerykańską, w których ostatecznie rząd angielski będzie musiał się zgodzić na dość trudne warunki amerykańskie i dostanie w sumie 4.400 milionów dolarów na dwa procent rocznie, z czego 1.951.000 dolarów na pokrycie długu z Lend-Lease. Pożyczka ta pójdzie zresztą przeważnie na zakup żywności w tychże Sta-

nach Zjednoczonych, ale rozwiąże problem wyżywienia Wielkiej Brytanii tylko na pewien czas. Może na rok. W tym okresie cała produkcja angielska musi się odbudować z wyraźnym nastawieniem na eksport, którym się będzie płaciło za import.

Właściwie po raz pierwszy od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, Anglia znalazła się w tej sytuacji, że nie posiada zupełnie aktywów za granicą, którymi mogłaby płacić za obfity import. Wojna pochłonęła wszystko. Angielskie statystyki podają, że w tej chwili wysokość zadłużenia wojennego Anglii sięga akurat kwoty jej należności zagranicznych (nb. nie wiadomo czy będą one ściągalne). Jeszcze jeden krok dalej, a wielki bankier świata stanie się wielkim dłużnikiem. Krok ten bodajże uczyniono właśnie w kierunku Washingtonu, jedynego miejsca na świecie, gdzie dziś można jeszcze pożyczyć pieniądze. Ale jak już wspomniałam, jest to krok prowizoryczny.

„Economist", najpoważniejszy dotychczas konserwatywny tygodnik pisze: „że rzadko mija dzień bez ponownego uświadomienia sobie, albo zasadniczego znaczenia eksportu, albo jego niewystarczalności w tej chwili. Obecne ograniczenie produkcji na rynek wewnętrzny potrwa jeszcze zapewne tak długo, dopóki nie uda się przekroczyć cyfry eksportu z 1938 roku. Bez tego nie można sobie wyobrazić wykonania programu rządowego. Nie będzie ani odbudowy domów, ani maszyn dla pełnego zatrudnienia, ani pieniędzy na opiekę społeczną, ani siły w polityce zagranicznej. **Eksport jest filarem polityki**".

Jednakże doniosłość tego problemu, wcale nie gwarantuje jego rozwiązania, twierdzi dalej „Economist". W każdym razie to jest właściwe sedno tajemnicy i odpowiedź na pytanie, dlaczego Anglicy są źle ubrani i źle jedzą. Dlaczego Lock ma na składzie tylko trójgraniaste kapelusze à la Nelson i czaka gwardii, a w restauracji można zjeść lunch tylko do wysokości pięciu szylingów. Combined Production and Resources Board ogłosił niedawno ciekawe dane statystyczne, porównawcze dla Stanów Zjednoczonych, Kanady i Wielkiej Brytanii. Wynika z nich, że koszty utrzymania w Anglii wynosiły (przyjmując rok 1929 za 100) w roku 1939 — 96,4, w sierpniu 1945 r. — 125, po czym we wrześniu tegoż roku obniżyły się do 123,8. Dochód społeczny na głowę mieszkańca i sumy zakupów (też na głowę) obniżyły się w Wielkiej Brytanii, w latach pomiędzy 1941—44 o 16%, podczas kiedy o ten sam procent wzrosły w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Od roku 1944 cyfra ta dla Wielkiej Brytanii pozostała niezmieniona.

Do tego należy dodać, że do połowy 1941 roku 450 tysięcy domów z różnych przyczyn nie nadawało się do zamieszkania przez ludność cywilną, że z końcem 1944 roku doszło do tego jeszcze 100 tysięcy domów zniszczonych przez latające bomby i rakiety, że w 1945 jeszcze kilkaset tysięcy domów (brak dokładnych danych) uległo zupełnemu zniszczeniu, że trzy i pół miliona domów z ogólnej sumy trzynastu milionów wymaga zasadniczego remontu, że, dalej wskutek tego ludność zajęła znowu domy opróżnione zgodnie z planem niszczenia slumsów i nowego budownictwa — a będziemy mieli w przybliżeniu obraz sytuacji gospodarczej.

W Anglii nie ma w tej chwili ani jednego bezrobotnego, ale ogromna ilość fachowców ciągle jeszcze jest zmobilizowana i mimo licznych interpelacji w Izbie Gmin nie zanosi się na rychłą ich demobilizację. Dlatego nawet duże ułatwienia dla przemysłu eksportowego, zwłaszcza w zakresie werbowania robotników nie prędko dadzą rezultaty, zwłaszcza, że w niektórych gałęziach przemysłu pracującego na eksport, płace wyraźnie zmalały.

Niewiernemu Tomaszowi zza Oceanu pokazano krwawiące rany statystyk, ale dobrotliwy Wuj Sam ocenił to, mimo wszystko, na 2% rocznie.

KEEP LEFT

Gdy mgła wieczorem opada, na jezdniach londyńskich ulic zapalają się świetlne napisy: „Keep left". Takie same napisy wbito wielkimi metalowymi gwoździami w asfalt, wypisano w długich korytarzach kolejki podziemnej, wszędzie, gdzie tylko odbywa się jakikolwiek ruch wehikułów, lub pieszych. W Anglii, jak wiadomo, w przeciwieństwie do kontynentu ruch jest lewostronny.

To proste i bezosobowe przykazanie dnia codziennego urasta dziś wręcz do proklamacji programowej. Cała Anglia steruje na lewo prowadzona przez rząd Labour Party, oparty o związki zawodowe. Oczywiście nie należy się łudzić, że to jakoś specjalnie zrewolucjonizowało Anglików. Jest to jeszcze ciągle ta sama fregata, na której sir Francis Drake zdobywał kolonie dla królowej Elżbiety. Ciągle jeszcze po zakończeniu seansu w kinie, czy przedstawienia w teatrze, orkiestra gra parę taktów „God save the King", a wszyscy wstają. Ciągle jeszcze „clerkowie" w parlamencie zjawiają się w perukach z warkoczami, choć deputowani kładą już nogi na stole, City londyńska ma od 700 lat ten sam ustrój wydzielony z ogólnego zarządu miasta z własną radą i własną policją oraz Lordem Majorem.

Chodzi o problemy znacznie istotniejsze, choć niedostrzegalne dla obserwatora życia codziennego: o zrewolucjonizowanie gospodarki angielskiej. Nie wiem, czy wyborcy, którzy głosowali na Labour Party w ostatnich wyborach zdawali sobie jasno sprawę z tego, że tylko socjalistyczne reformy, tylko jakaś zasadnicza, programowa reorganizacja, mogą stać się punktem zwrotnym w dzisiejszej depresji, czy działali mniej lub bardziej pod wpływem impulsu. Dość, że rząd z powołaniem się na mandat zaufania większości proklamuje coraz to nowe szokujące punkty programu. Po nacjonalizacji Banku Anglii, Morrison ogłosił nowe plany upaństwowienia produkcji gazu, elektryczności, instytucji ubezpieczeniowych, a dalej produkcji stali i żelaza. Dyskutuje się nawet sprawę na-

cjonalizacji telegrafu i radia, przy burzliwych demonstracjach na ławach konserwatywnej opozycji. Jeden z publicystów lewicy napisał po prostu i brutalnie, że: „W przyszłości, tak jak i w niedawnej przeszłości rząd będzie prowadził politykę obniżania i surowej kontroli zysków w ramach systemu zorganizowanego na czas wojny. Odbiera to całkowicie posiadaczom kapitału jakąkolwiek możliwość uzyskania przewagi nad rządem. Aby uchronić kraj od inflacji, rząd będzie lokował surowce i materiał ludzi przede wszystkim w znacjonalizowanych przedsiębiorstwach, utrzymując w stosunku do przedsiębiorstw prywatnych system racjonowania i kontrolując je przy pomocy opodatkowania. Wyklucza to możliwość sabotażu kapitalistycznego".

Młodsi członkowie partii konserwatywnej atakują starszych dieward'ów za brak należytego oporu, a Daily Herald zamieścił niedawno karykaturę, na której śpiący pod drzewem zdziecinniały staruszek budzi się pod wpływem tych hałaśliwych protestów i pyta sepleniąco: „O co właściwie chodzi?". Chodzi w rzeczywistości o zasadniczą reorganizację przemysłu angielskiego, tak, aby utracone aktywa zagraniczne zastąpić poważnym wzrostem eksportu, co mimo usunięcia konkurencji Niemiec i Japonii jest ciągle bardzo trudne. Rynki światowe są zdezorganizowane, a Niemcy i Japonia były nie tylko wielkimi eksporterami, ale i wielkimi importerami. Oczywiście są to stwierdzenia nadające się raczej do dyskusji, niż do bezkrytycznego przyjęcia za podstawę dalszych rozumowań.

CZŁOWIEK Z ULICY

Szary człowiek z ulicy najspokojniej w świecie staje w ogonku, którego długość wydaje się go nigdy nie przerażać, ani nie zniechęcać.

Wchodzi do restauracji, aby zjeść ohydnego królika z kleistym sosem, odchodzi spokojnie od drzwi sklepu, na których jest napis: „sorry, no cigarettes". W wagonie metra pogrąża się całkowicie w czytaniu Daily Express, lub Evening Standart i czyta je od deski do deski, aby nie umrzeć z nudów na bardzo długiej trasie. Jego „job" zajmuje mu prawie cały dzień czasu, w sobotnie popołudnia i w niedzielę idzie do kina, aby obejrzeć jeden z bardzo złych filmów, albo do teatru na komedię muzyczną.

Człowiek z ulicy zawsze bardzo grzecznie przeprasza, jeżeli kogoś potrąci, a jeżeli ktoś zatrzyma się na rogu ulicy i przygląda się fasadom domów, aby znaleźć jej nazwę, człowiek natychmiast podchodzi i pyta, w czym może pomóc. Informacji udziela bardzo rzeczowo i bardzo dokładnie.

Człowiek z ulicy nosi stare ubranie i stare obuwie, ale to wszystko jest bardzo czyste, porządne i eleganckie. Względne pogorszenie w okresie wojny jest jeszcze ciągle w porównaniu do naszych możliwości wysoką stopą życiową. Jak wszędzie, tak i tutaj demokracja jest niwelująca i ujednostajniająca. Jak wszędzie, tak i tutaj obniża poziom masowej produkcji dóbr kulturalnych do przeciętności. Na 43 notowanych w gazetach teatrów West Endu, 38 wystawia albo komedie muzyczne, bardzo przeciętne, albo równie przeciętne bezproblematyczne sztuki. Świeżo wydane książki, to przeważnie to, co Anglicy nazywają fiction, przeciętny, lepiej, lub gorzej napisany romans.

Ogólne podnoszenie się poziomu życiowego spowodowało proces, jaki obserwuje się w geologii: przy podnoszeniu się terenu, warstwice opadają. Różnice klasowe leża tu znacznie głębiej, aniżeli na kontynencie. Tam zaczynają się już na najbardziej powierzchownych i dostrzegalnych płaszczyznach, zaznaczają się w ubraniu, w sposobie zachowania. Tutaj zaczynają się znacznie głębiej w stosunku do dóbr, które w naszym pojęciu uchodzą za luksusowe, których używanie i pożądanie nie wyraża się tak jaskrawo w życiu codziennym.

Czarny rynek, który jest takim papierkiem lakmusowym struktury klasowej, tutaj nie ujawnia się w niczym. Ubranie wystawione w oknie najelegantszego magazynu na Picadilly, czy na straganach East Endu, tak samo wymaga złożenia 26 kuponów, dalsze różnice w gatunku i w cenie, a więc rozpiętość zarobków, a dalej różnice w strukturze budżetów domowych, są oczywiście dostrzegalne, ale nie są jaskrawe.

Wojna dotknęła prawie zupełnie jednakowo ogromną większość społeczeństwa. Charakterystyczne dla Anglii uzależnienie od importu uniemożliwiło jakiekolwiek różniczkowanie na czyjąkolwiek korzyść. Jaja i mięso, albo były w ograniczonej ilości dla wszystkich, albo ich po prostu nie było. Za wyjątkiem króla i farmerów, którzy (król i farmerzy) stanowią znikomą mniejszość społeczeństwa angielskiego, na pewno wszyscy muszą wystawać w ogonkach.

Nacjonalizacja kluczowych gałęzi przemysłu i kontrola finansowa państwa posuną dalej ten proces równania — i to — zanim nastąpią nowe, wyrównane dla wszystkich możliwości awansu społecznego (które są chyba najistotniejszą cechą demokracji) — równania w dół. Bardzo daleko posunięte skomercjalizowanie, nawet życia kulturalnego w Anglii, ułatwi tylko ten proces, bo pozwoli kontrolować go w cyfrach. Są to te same konieczności, to samo zdeterminowanie procesów społecznych w pewne formy, co na całym świecie.

Maria Fiderer

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Obrachunki nauczycielskie (I)

Refleksje pozjazdowe

Z głęboką troską przychodzi mi spisywać te refleksje po Walnym Zjeździe Delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego, pierwszym sejmie nauczycielskim — po sześcioletniej przerwie, który odbył się w Bytomiu dnia 25 — 29 listopada.

Doniosłość kulturalna tego faktu jest nie byle jaka dla Polski. ZNP jednoczy dziś wszystkich nauczycieli, jest jedyną organizacją zawodową, obejmującą pracowników oświatowych od przedszkoli do uniwersytetów włącznie. Jest to zatem organizacja około 80.000 ludzi, których zawodem jest pośrednictwo kulturalne, organizowanie i kierowanie procesem krążenia dóbr kulturalnych w kraju.

Postawą przeto, dążenia, potrzeby tych ludzi są nieobojętne dla wszystkich współtworzących kulturę duchową. Nauczyciel wychowuje i przygotowuje konsumenta literatury, sztuki, filmu, konsumenta gazet. Ci sami ludzie w okresie szczególnej wrażliwości we wczesnej młodości oddziaływują i na twórców kultury, nie tylko na konsumentów.

Toteż wszyscy bezpośrednio przynależni do świata kultury, sztuki i nauki muszą gruntownie przemyśleć doświadczenia tego Zjazdu. Musi się on stać przedmiotem publicznej dyskusji, jako wydarzenie szczególnie zasługujące na publiczną uwagę. Należało się spodziewać, że ten pierwszy zjazd nauczycieli ze wszystkich stron Polski będzie istotnym i wszechstronnym przeglądem problemów kulturalnych różnych regionów naszego kraju, przyniesie znamienne decyzje, dotyczące demokratycznej przebudowy naszej kultury, pchnie naprzód reformę szkolną. Określi przede wszystkim w istotnie demokratyczny sposób i ustami wybranych delegatów — stosunek mas nauczycielskich do rodzącego się polskiego, ludowego programu polityki kulturalnej. Otwartą bowiem ciągle jest sprawa i form instytucjonalnych tej polityki i jej treści ideowych. Niestety pod tym względem Zjazd przyniósł kompletny zawód. Stąd troska z jaką trzeba o nim pisać.

Delegaci jako zespół nie umieli ustosunkować się do żadnego z wyliczonych problemów. Przemówień na tematy pedagogiczne nie chciano słuchać. Mówcom przeszkadzano — niezależnie od ich politycznego oblicza, jeśli poruszali sprawy teoretyczne i ideowe wychowania. Wielu pedagogów — teoretyków w Związku zrezygnowało z prawa przemawiania. Mówili raczej naiwni, których nastrój sali nie ostrzegł i nie zraził. Stąd niski poziom tych niewielu ideologicznych wystąpień. Poziom w żadnym wypadku nie będący miarą wysokich teoretycznych możliwości Związku, który w swym gronie posiada naprawdę wybitnych ludzi i którego Zarząd Gł. w istocie rzetelnie pracuje nad torowaniem dróg nowej szkole i nowej kulturze w Polsce. Stan obojętności i lekceważenia dla spraw ideowo-wychowawczych na Zjeździe jest groźnym ostrzeżeniem. Trzeba szukać przyczyn tego zjawiska. Usunąć je natychmiast. Jeśli chcemy, by szkoła polska rozwijała się i spełniła swoje doniosłe dla demokracji zadania.

Niewątpliwie — to, co uderza przede wszystkim, to są skutki okupacji. Nauczyciel te sześć lat spędził bez książki, bez czasopism, bez konferencyj rejonowych, bez opieki metodycznej inspektora, bez całego aparatu, który miał za zadanie podciągać poziom, poszerzać horyzont ideowy naszych pracowników oświatowych. Teraz wystąpiły groźne skutki tego zaniedbania. Trzeba odrobić sześcioletnie nieróbstwo na tym polu. Pamiętając, że wielu młodych nauczycieli nie miało czasu porządnie douczyć się przed wojną.

Lecz są i inne przyczyny. To co na Zjeździe przesłoniło delegatom wszystkie pozostałe zagadnienia — to były sprawy bytu nauczycielskiego. Sytuacja materialna nauczyciela jest bardzo zła. Pisano o tym wiele razy. Widać za mało. Bo nie zrobiono dość, by ją poprawić.

Zrozumiała jest więc gorycz tych ludzi, którzy myślą tylko o swojej doli, wszystko inne traktując z pogardliwym lekceważeniem lub obojętnością. Byłem ostatnio blisko tych spraw. Mogę z całym poczuciem odpowiedzialności powiedzieć, że Rząd zrobił dla nauczycieli wiele, że okazywał wielokrotnie najlepszą wolę, że najbliższe tygodnie przyniosą realizację tych zabiegów, które podjęto już przed kwartałem, a których wykonanie wymagało czasu.

Niewątpliwie jednak jest wina i po stronie Rządu — nie zrobiono jeszcze wszystkiego, co można było zrobić i tempo pracy nie było dość szybkie.

Toteż dziś trzeba z całą stanowczością domagać się i oczekiwać wprowadzenia w życie specjalnych przydziałów aprowizacyjnych dla nauczycieli, rozprowadzanych przez zamkniętą sieć spółdzielni, które bez względu na trudności trzeba zaopatrzyć w środki transportu.

To nie jest już sprawa pomocy dla pewnej kategorii ważnych pracowników państwowych, to jest sprawa ratowania przyszłości kultury narodowej.

A trzecia przyczyna nastroju sali zjazdowej: brak informacyj.

Mamy już za sobą wegetacyjny tryb życia doby sanacyjnej. Żyjemy w okresie wielkich zmian. Obywatele muszą w nim świadomie uczestniczyć dla wspólnego dobra. Trzeba trudny sens tych ich zmian wyjaśniać. Polska nie może być dla jej mieszkańców krajem nieznanym.

Dyskusja na sali zjazdowej, argumenty, propozycje dowodziły, że delegaci nie orientują się ani w sensie i kierunku przemian dokonywujących się w Polsce, ani nie rozumieją celów polityki gospodarczej i walutowej Rządu, ani nie mają jasnego obrazu sytuacji gospodarczej kraju. To były wypowiedzi ludzi żyjących całkowicie we mgle, poza wszelką rzeczywistością.

I proszę nie myśleć, że może wypowiedzi ich dyktowało przemyślane, polityczne stanowisko opozycyjne wobec Rządu i jego działalności. Na 50 blisko mówców — tylko jedno przemówienie (oczywiście nauczyciela szkoły średniej) było nacechowane świadomym wstecznictwem. To mówi samo za siebie. Nauczyciel jest w swej szarej masie prowincjonalnej zdezorientowany.

Niewątpliwie znaczną winę ponosi za to dotychczasowy Zarząd Główny. Nie przeprowadził bowiem w ciągu ostatnich 7-miu miesięcy właściwej kampanii informującej. Nie podjął naturalnych praw w zakresie wychowywania środowiska związkowego. „Głos Nauczycielski" nie pisał ani o naszej polityce gospodarczej, ani o podjętych reformach społecznych, ani o kierunku polityki zagranicznej. Plon tego milczenia przyniósł Zjazd. Groźny nie dla tej czy innej partii — ale dla kultury polskiej.

Toteż właściwi przywódcy Związku, Czesław Wycech i Kazimierz Maj, dopiero w swych przemówieniach zjazdowych musieli ten trud podjąć. Rzucając na szalę cały swój zasłużony autorytet mówili o konieczności upolitycznienia Związku, przy jednoczesnej eliminacji partyjności. Mówili, że nauczyciel winien kroczyć pod zielonym — ludowym i czerwonym — robotniczym sztandarem. Uzasadniali, że linia polityki zagranicznej wewnętrznej i gospodarczej Rządu jest słuszna, nie jest lekceważeniem interesu świata pracy, a przeciwnie jest walką o prawa tego świata. Wskazywali na lojalną przyjaźń dla nas ZSRR — a fałszywą grę Zachodu w stosunku do naszych żywotnych interesów na ziemiach odzyskanych.

To wszystko winna byli usłyszeć nauczyciele z ust swych zasłużonych działaczy na szereg miesięcy wcześniej. Wtedy wynik Zjazdu byłby pozytywny. Z sensem radzono by o sprawach gospodarczych, właściwe poczesne miejsce poświęcono by problemom pedagogicznym. A tak Zjazd stał się zmarnowaną okazją. Najbardziej powołany do tego czynnik w najbardziej zdało by się sprzyjających okolicznościach na palące tematy kulturalno-oświatowe nie wypowiedział się.

Staje wobec tego przed nami pytanie czym będzie Związek? Jaką rolę odegra w naszej rzeczywistości społecznej i kulturalnej?

Przede wszystkim zdajmy sobie sprawę, że ZNP nie jest tak ideowo jednolity jak przed 1939 rokiem. Wtedy istniały trzy Związki Nauczycielskie. Żywioły zachowawcze skupiały się w Stowarzyszeniu Chrześcijańskim i TNSW. Natomiast Związek był ostoją elementów postępowych.

Dziś członkowie dwu wyżej wymienionych stowarzyszeń szeroką falą wleli się w szeregi ZNP.

Aby ZNP mógł być nadal czynnikiem postępu społecznego w Polsce — trzeba nad tym pracować. Sama tradycja przeszłości i bierna wierność tej tradycji napewno nie wystarczy.

Pierwszym punktem programu naprawy Związku to usunąć wyliczone przyczyny zła, przyczyny groźnej obojętności mas nauczycielskich dla wszystkiego, co wykracza poza ciasny krąg codziennych spraw materialnych. A więc: poprawić byt nauczycieli, podjąć szeroką akcję doszkalania nauczycieli, wyrównywania zaniedbań wojennych pod tym względem i wreszcie podjąć wewnątrz Związku szeroką akcję ideowo-wychowawczą w duchu demokratycznym.

Ja osobiście przeciwstawiłbym się przy tym wytycznym ideowym polityki oświatowej, które wobec Zjazdu głosił ob. Maj jako program Związku. Tezy te wobec nastroju Zjazdu nie zostały poddane krytyce, w ogóle nie były dyskutowane. Uważam je za wyraz założeń ideowych obcych dążeniom świata pracy w Polsce. Streszczając (na ten raz) krótko i trywialnie: prezes Maj w Polsce, przysłowiowym kraju robotników niewykwalifikowanych i głodnych bandosów, ostrzegał przed przewrotem cywilizacji technicznej. Zamiast żądać skierowania całego wysiłku kulturalnego na dogonienie techniki cywilizacyjnej szczęśliwszych od nas krajów, mówił, przeciwnie, o chronieniu cennych instynktów, które cywilizacja techniczna paczy. Głosił jednym słowem dziwny mistycyzm znany nam w środowiskach ideowych ruchu chłopskiego, skupiającego zamożniejsze elementy wsi, obojętne wobec reform, zadowolone z istniejącego stanu rzeczy. Tu ledwie szkicuję treść tego ważnego i znamiennego wystąpienia, aby na innym miejscu szczegółowo je zreferować i przedyskutować.

Czy Związek ma dość sił by podjąć się pracy odrodzenia naszego środowiska nauczycielskiego, dźwignięcia go po klęskach okupacji, poprowadzenia drogą demokracji i postępu? Bezwzględnie tak. O tym również jasno powiedział ostatni Zjazd.

To wśród nauczycieli postępowców, czy spod zielonego — spod czerwonego sztandaru, były najwybitniejsze osobistości, jakie środowisko nauczycielskie posiada. Głos ich na Zjeździe brzmiał silnie. Ale oczywiście takie jednorazowe zetknięcie się szeregowych mas Związku z tymi ideowymi przodownikami, nie mogło dać od razu rezultatu. Trzeba tu trwałego, zorganizowanego wpływu.

Na Zjeździe zetknąłem się z nauczycielami socjalistami. Była to grupa ilościowo bardzo poważna. Ale nie to jest najważniejsze. Z radością widziałem, że skupia ona osobistości naprawdę wybitne, od lat zaszczytnie znane w ruchu zawodowym i życiu kulturalnym. Można ufać, że ci ludzie będą mieli dość powagi i dość treści ideowych, by w pożądany sposób oddziaływać na Związek i nauczycielstwo. Musi się to jednak stać przedmiotem świadomej troski ośrodków życia ideowo-politycznego w Polsce.

Nauczyciele politycznie wyrobieni, świadomi dróg i zadań demokracji winni intensywniej niż dotąd zająć się sprawami poruszonymi w artykule.

Musi to być przy tym nie terenem indywidualnych poczynań, a przedmiotem zorganizowanej akcji. Demokracja polska na odcinku nauczycielskim winna przejść do ofensywy. Najwyższy czas.

STANISŁAW JERZY LEC

Remblow

Jakby ktoś niebo wyżymał tak padał deszcz,
nasi chłopcy wracali z Remblowa w rozsypce.
Trudno było milczenie w zębach ponad wodami nieść
i broń zdobyczną chronić na sercu jak skrzypce.

W chacie przy lesie garbowskim suszyłeś się,
w kudły psie tarłeś mokrą od dziejów twarz,
gąbczastą głową zaszyłeś się
w cuchnący bagnami płaszcz.

I śmierć niemiecką z dłoni podawano w dłoń,
Waltery lśniące, Ef-eny nowe i Colty.
Ktoś stojąc zasnął, łeb zwiesiwszy jak koń
chłop krzyżem na kufrze rozpięty zachrapał jak sołtys.

Tyś tamtej twarzy z boju przyniesionej nie dzielił z nikim
jak z krwi wyjąłeś ją ze wspomnień.
A na odwrocie tej twarzy
Johannes Kabbonga z germańskiej dywizji Wiking
pisał do matki list, do holenderskiego miasta Harlem
że nienawidzi ciebie.
Ja to wspomnienie podarłem.

Znowu trzeba przez ramię przerzucić serca skórzany kabur.
Świt przeprał sny, jak chusty deszczu wiszą.
Tam z koni naszych gulasz, roztrzaskany tabor
tylko krople z liścia na listek spadają w leśnym zaciszu.

Marszami poryte te podmokłe gleby
jak kora naszych serc. Niejeden zapisek
już tylko krew opłucze. Patrzymy na dęby
czy kiedyś je wygniemy na łuki kołysek.

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

Kogut czwartej republiki

W sercu Paryża, budzi mnie co rano pianie koguta. Trzy razy przypomina mi, jak biblijnemu Piotrowi, wszystkie sprawy których się w ciągu dnia wyparłem i wszystkie obietnice, których nie dotrzymałem między zbudzeniem się a udaniem na spoczynek. Kogut pieje po raz pierwszy, kiedy jest jeszcze zupełnie ciemno. Wiem wtedy poprzez przerzedzającą się zasłonę snu, że noc i mgła to jeszcze ciągle jedno, że wystarczy obrócić się na bok, by wróciło szczęście jesiennych schyłków nocy, w które nie musi się wstawać przed świtem. To pierwsze pianie koguta to nie pobudka jeszcze, to tylko odległa zapowiedź, wczesne ostrzeżenie. Nie bierze się pod uwagę wczesnych ostrzeżeń. Dlatego pierwsze kury pieją zawsze na próżno.

Kiedy kogut paryskiego śródmieścia pieje po raz drugi, przez okiennice sączy się ołowiany blask, a między Sekwaną a mleczną drogą leży nie czarna noc, lecz biała mgła. Rzeczy mają wówczas swój własny, osobisty kolor. Sprawy nabierają własnej, swoistej barwy. Rzeka przestaje być czarna od nocy, a nie jest jeszcze błękitna od nieba ani złota od słońca. I mosty, i miasto, i wszystko. Odarte z pesymizmu nocy i optymizmu jasnego dnia sprawy nabierają jedynego, niepowtarzalnego wymiaru.

Myślę, że to drugie pianie jerozolimskiego kura musiało być najboleśniejsze dla apostolskiego Zaprzańca. Dla mnie to jest jedyna pora dnia, kiedy mam intencje, których wprowadzenie w czyn musiało by spowodować zasadniczy i błogosławiony przewrót w moim życiu. Później zasypiam jeszcze, — niestety. Powinno się wstawać po drugim pianiu koguta i nie czekać na trzecie.

Kiedy kogut pieje po raz trzeci, jest to już tylko obrzydliwy skrzek, niemuzykalny i wyzbyty metafizyki. Zadymiony dzień stoi nad miastem. Z zaczątkami porannych irytacji zaczynam wydziwiać: to nie do wiary, żeby człowieka budził w Paryżu, — pomyśleć tylko, w Paryżu, — zwykły, ordynarny kogut. — Nie, koguty nie powinny piać po raz trzeci. Jest już zawsze zbyt późno i w końcu niczego to już nie oznacza.

Dzień, w którym po raz pierwszy zbudziły mnie trzykrotnie trzy piania koguta, to był dzień, w którym umarła trzecia republika, — świt, o którym narodziła się czwarta. To był jedyny wypadek, kiedy pianie tego przedziwnego, zaawanturowanego w urbanistyczny pejzaż koguta wzruszyło mnie. Nie mnie pierwszego zresztą. Pokolenia Polaków wzruszały się pod pianie galijskiego koguta w Paryżu, w Warszawie, wszędzie. Sto pięćdziesiąt lat pianie to budziło nas, jak alarm. Mamy słuch wyczulony na jego dźwięk.

Urodzić się to nie znaczy jeszcze, że się będzie żyć. Czwarta republika narodziła się w mgle. W jesieni, w zimie, bez opału, w spiczeczności wyniku referendum z wynikiem wyborów do Konstytuanty, pod chmurą ciężkiego kurzu, powstałego od wybuchu bomby atomowej w Hiroszima, nagnaną przez sprzeczne wiatry nad Europę. Ale Czwarta Republika urodziła się z taką wolą życia, że przezwyciężyła kryzys pierwszych tygodni, odmieniła bieg horoskopów i wróżb, wyciąganych z procesu Lavala, z dymisji de Gaulle'a, z Syrii, Libanu, Indochin. „La Republique est morte, vive la Republique!" No i co? Będą żreć co dnia befsztyk, czy nie będą? Będą dostawać dwa razy dziennie po ćwiartce cierpkiego „pinard" do posiłku, czy nie? „Zakaszmy rękawy, — powiada człowiek z na pamięć umianego afisza, — od roku idzie już wszystko dobrze. Będzie szło jeszcze lepiej!"

Złośliwi twierdzą, że gdyby człowiek z afisza zakasujący rękawy stanął do wyborów, to byłby je przegrał. „Zakasać rękawy? Myśmy je już dawno obcięli, by z nich porobić kołnierzyki..."

Po roku 1870-ym ktoś się skarżył, że nie ma już wielkich narodów, są tylko wielkie mocarstwa. Francja przestała być wielkim mocarstwem, ale może jeszcze być wielkim narodem. Zależy to od wyboru, jakiego dokona. Czy pójdzie drogą imperialistycznej polityki w koloniach, drogą odbudowy militarnej świetności i dławiącej administracji w Afryce, Indochinach, na Bliskim Wschodzie, czy też drogą przebudowy demokratycznej, nacjonalizacji, armii narodowej, republikańskiej uczciwości i republikańskiej wolności, która by objęła wszystkich jej białych, czarnych, smagłych i żółtych obywateli. Czy będzie się potykać o prestiż swych sztandarów na kontynentach i wyspach, na konferencjach i salach obrad wszystkich stolic świata, czy też odbuduje wielkość swej cywilizacji, kultury i sztuki, nauki i myśli, wielkość społeczną swej rodziny, wielkość polityczną swych instytucji publicznych i swego ustroju, wielkość gospodarczą powszechnego dobrobytu i wdzięczną precyzję swego przemysłu. Gdzież indziej, jak nie w tym kraju, gdzie Północ godzi się z Południem a przeszłość z przyszłością, powstać może synteza wolności osobistej i koniecznej socjalizacji form życia zbiorowego, która wydaje się receptą na szczęście świata?

Francja nie jest już wielkim mocarstwem i przeciw tej prawdzie nic nie wskóra pianie wszystkich jej kogutów. Była nim dość długo i nie bez przyczyn czysto materialistycznych. Od Ludwika XIV po Napoelona była krajem o najliczniejszej w Europie ludności, obdarzonej najwyższym stopniem uświadomienia narodowego i obywatelskiego. Gdyby było inaczej, nie zwyciężyłaby pod Valmy. Ale od tego czasu wyrosły na Wschodzie i Zachodzie narody stu i więcej milionowe, o wielkich i zwartych przestrzeniach. Przy ich pomocy Francja wygrała wojnę 1914—18, płacąc za zwycięstwo półtora milionem poległych i dwoma milionami rannych. Była w owej wojnie największą siłą psychiczną i tym opóźniła schyłek swej mocarstwowości o ćwierć wieku. Następnym razem zabrakło jej tyleż sił fizycznych, ile psychicznych. Trudno wracać na pozycje zwycięstwa po klęsce, odrobionej przez innych. Trudności te Francja odczuwa w Niemczech, w Indochinach, w Syrii. Niemcy we francuskiej strefie okupacyjnej patrzą nie na barwne furażerki francuskich garnizonów. Patrzą na broń, jaką Francuzi mają w rękach. Broń ta nie pochodzi z fabryk francuskich. Czołgi, działa, samoloty, broń maszynowa, nawet karabiny wyprodukowano za Atlantykiem.

W Indochinach Chińczycy grożą z byle powodu rozbrojeniem francuskim oddziałom. Trzeba pomocy brytyjczyków i japończyków dla osłony miast i linii komunikacyjnych przed insurgentami. W Libanie i Syrii kazali brytyjczycy po prostu strzelcom senegalskim iść do koszar i nie wychylać nosa. Trzecia Republika gasła znieważana na straconych pozycjach mocarstwowości, na których jej koguty resztką sił jeżyły się, pieając łabędzi śpiew. A tymczasem zmęczona mocarstwowością mocarstw ludzkość ogląda się za wielkim narodem, który by nie był wielkim mocarstwem.

Co w tym kraju jest istotnie wielkiego? Przeszłość? I jeszcze coś. Jego młodzież. Młodzież, której ciągle jest za mało, młodzież, która gotowa jest zrezygnować z befsztyków na codzień i wina do obiadu, która gotowa jest przebudowywać i odbudowywać, dla której historyczne powiedzenie „państwo to ja" przestało być dewizą francuskiego „citoyen". Młodzież socjalistyczna, komunistyczna i katolicka, która zapełnia wszystkie wiece, wszystkie sale widowisk, wszystkie muzea i wszystkie kościoły, która jest w fabrykach i urzędach, w związkach zawodowych i w armii, która była z Leclerc'iem w Afryce i z Delattre de Tassigny nad Renem, z de Gaulle'm na obczyźnie i sam na sam z Francją w maquis.

Trzecia republika skończyła na uwiąd starczy, przeżywszy trzy ćwierci wieku. Odwaliła szmat historii i szmat wielkości. Miała w swej przeszłości ugruntowanie imperium kolonialnego i impresjonizm, wielką literaturę i Bleriota, kankana i Verdun, parę nagród Nobla i Traktat Wersalski. Jej ludzie weszli w historie, hurmem. Paryż był pępkiem świata, a Francja drugą ojczyzną połowy ludzkości. Niechże jej wieko historii lekkim będzie.

Ten sam naród i ci sami jego prorocy, którzy bez zbytniego żalu wyświadczali ostatnią przysługę uprzykrzonej zmarłej, stanęli w chwilę później u kołyski czwartej republiki. Jak to zwykle bywa w takich razach, targi o dziedzictwo zaczęły się dopiero po śmierci spadkodawcy. Groziła nawet nowa niewdzięczność ludów, taka sama, jakiej doświadczył Churchill. Czy dobrze jest dla narodu mieć „wielkiego człowieka"? I tak i nie. Dobrze go mieć pod Dunkierką, w bitwie o taką czy inną Anglię, na Wale Atlantyckim. Gorzej gdy chodzi o posiedzenie w parlamencie. Narody nie są niewdzięczne bez powodu.

Jak by nie było, ojcem chrzestnym Czwartej Republiki został gen. Charles de Gaulle. Jest to, jak wiadomo, jeśli nie największy, to w każdym razie najdłuższy mąż w historii Francji. Dzięki niemu rządy Wielkiej Trójki (komuniści, socjaliści i M. R. P.) zmieniły się w gruncie rzeczy w rządy Wielkiej Czwórki. Uwielbiany przez M. R. P. i „Resistance", ostrożnie popierany przez S. F. I. O., kwestionowany przez komunistów za mit „bloku zachodniego", niedostateczność reform społecznych, gospodarczych i ustrojowych, wysunięty przez wynik odpowiedzi narodowej na drugie pytanie referendum, gen. de Gaulle uzyskał jednomyślny wybór Konstytuanty na premiera, zgłosił dymisję na skutek żądania komunistów udzielenia im jednej z kluczowych tek, został wybrany powtórnie i wreszcie utworzył rząd.

Wymagało to wielkiej ilości „klajstru", któ rego nie szczędzili socjaliści. Radykali Herriota, jak w wyborach, tak i tu, nie odegrali żadnej roli, a ich mentorskie i przedwczesne „a nie mówiłem" zawisło w rządowej próżni. Prawica wciąż jeszcze nie może przyjść do siebie po pogromie wyborczym. Zresztą utraciła gros głosów i wpływów na rzecz M. R. P.

„Du neuf et du raisonable" Czwartej Republiki domaga się tego, czego domagały się wszystkie słowa wypowiedziane ku zbawieniu ludzkości od początku świata. Dopóki słowa nie stają się ciałem, są zawsze wypowiadane na próżno albo dla rozterki jedynie. Słowa, które padły jako błogosławieństwo przy narodzinach Czwartej Republiki dręczyć będą sumienia niczym ranne pianie koguta, aż do dnia, kiedy wcieli się je w czyn. „Du neuf et du raisonable" to jest właśnie program C.N.R., to program lewicy, to nacjonalizacja i świeckość, to młoda, komunistyczna, socjalistyczna czy postępowo-katolicka Francja. Wybory dały przecież zwycięstwo hasłu „il faut que ca change"!

Kogut Czwartej Republiki im mniej będzie krzykliwy, buńczuczny, koguci, ambicjonujący się, tym chętniej będzie słuchany, kiedy piejąc o świcie zwiastować będzie nadejście jasnego dnia.

Odnosi się to także do mego koguta. Kiedy otwieram okno, to widzę zieloną kratę oddzielającą podwórko od ogrodu, drzewa z resztką zżółkłych liści, stary mur i kawałek nieba. Ale kiedy otwieram okno na podwórko, wśród którego gdzieś chowa się kogut moich poranków, to otwieram je zarazem na Paryż, którego nie widzę, ale o którym wiem, że jest. Sekwana, Tuillerie, Pola Elizejskie, Bulwary, Montmartre i najukochańsza ze wszystkich Quartier Latin są za tym oknem, za tym podwórkiem. I gotyk Notre Dame, i nieporównane płótna Renoira, i Balzac Rodina.

Piej kogucie, piej jak najgłośniej! Tylko niech w twej pieśni dźwięczy duch twego kraju, geniusz narodu francuskiego i to, co jest nieuchwytne, a co stanowi o pięknie Paryża, o wdzięku „słodkiej" Francji, o czarze podwórka pomiędzy zieloną kratą, starym murem i oknem otwartym.

Paryż, 25 listopada 1945 r.

B. IWASZKIEWICZ

Jeszcze o problemach aprowizacji

Przeczytałem w prasie następującą wypowiedź: „Klucz do rozwiązania sytuacji aprowizacyjnej leży w podniesieniu stanu i produkcji naszego rolnictwa, a ten stan z kolei w znacznej części uzależniony jest od rozwoju produkcji naszego przemysłu i rozwoju transportu".

Innymi słowy, zanim nie odbudujemy rolnictwa, przemysłu i transportu nie będziemy mogli rozwiązać trudności aprowizacyjnych.

Czy istotnie możemy zgodzić się na takie postawienie sprawy? Czy istotnie nic nie mamy do zrobienia w międzyczasie?

Tak zwana aprowizacja jest pojęciem, związanym z okresami niedoborów żywnościowych, w których powstają problemy celowego gospodarowania niedostatecznymi zasobami żywności, wymagającego kierownictwa i nadzoru ze strony Państwa. Należy obawiać cię, że odsunięcie rozwiązywania trudności aprowizacyjnych do okresu, w którym zostanie odbudowane nasze rolnictwo, o tyle jest nieistotne, że wówczas zadania aprowizacji wygasną na skutek prostego zrównoważenia rozmiarów potrzeb z rozmiarami osiągalnych w kraju zasobów żywności.

Jak jednak mamy ustosunkować się do trudności aprowizacyjnych obecnie, w okresie niedoborów żywności, odbudowy rolnictwa, przemysłu i transportu?

Nie wypowiadając się o całości programu aprowizacji, chciałbym na wąskim jedynie odcinku tych zagadnień, zastanowić się nad oceną sposobów ich rozwiązywania

Cechą charakterystyczną naszego systemu aprowizacyjnego jest istnienie obok siebie dwóch równoległych rynków — reglamentowanego i wolnego. Rynek reglamentowany, kierowany przez Państwo, ma za zadanie zaspokojenie potrzeb tych grup społeczeństwa, zaopatrzenie których musi być przede wszystkim zapewnione, a to z uwagi na znaczenie ich pracy dla odbudowy Państwa. W konsekwencji, na wolnym rynku miałaby pozostać „reszta" żywności, dla zaopatrzenia tych grup społeczeństwa, które nie są objęte systemem kartkowym i mając zresztą wyższe zarobki są w stanie zaopatrywać się po wyższych cenach na wolnym rynku. Poziom zaopatrzenia tych grup nie jest określony przez Państwo, w zasadzie mają one być zaopatrywane z tych zasobów, jakie pozostałyby po pokryciu potrzeb grup korzystających z przydziałów kartkowych.

System ten, słuszny w swym założeniu, z uwagi na niedobory żywności, powinien dawać gwarancję pokrycia potrzeb tych grup ludności, których praca dla Państwa uznana została za ważną.

Dla realizacji tego systemu, skup potrzebnych produktów rolnych oparto na świadczeniach rzeczowych, wyznaczonych gospodarstwom rolnym. Cena płacona rolnikom za te świadczenia została wyznaczona z góry i jest ona znacznie niższa, niż na wolnym rynku.

Do realizacji świadczeń rzeczowych i ich rozdziału użyty jest nasz aparat spółdzielczy, jeden z nielicznych zorganizowanych systemów naszego życia gospodarczego, który przetrwał nawet ciężkie lata niszczycielskiej gospodarki niemieckiej.

Podsumowane wyżej założenia naszej gospodarki aprowizacyjnej powinnyby zasadniczo doprowadzić do wyników, przy których część aprowizacji reglamentowanej, objętej systemem kartkowym, musiałaby kształtować się lepiej, pewniej, systematyczniej, od zaopatrzenia marginesowego, opartego o podaż na wolnym rynku.

Taki stan rzeczy zmuszałby grupy ludności nieobjętej systemem kartkowym, do częściowego odpływu na wieś lub do małych miasteczek, gdzie zaopatrywanie się w żywność jest łatwiejsze, gdzie żywność ta jest tańsza. Ci, którzy nie mając kartek, pozostaliby w miastach, byliby zaopatrywani niesystematycznie, po wysokich cenach, gorzej niż posiadacze kartek żywnościowych. Krępowanie ich siły nabywczej wysokim poziomem cen na wolnym rynku ograniczałoby jednocześnie ogólną siłę popytu, naciskającą na ten rynek.

Taki stan rzeczy mógłby być uważany za pewnego rodzaju sprawdzian skutecznego i sprawnego działania na odcinku aprowizacji reglamentowanej. Czy jednak tak to wszystko kształtuje się rzeczywiście? Obawiam się, że codzienna praktyka rysuje nam obraz nieco odmienny. To właśnie ten „marginesowy" odcinek wolnorynkowej aprowizacji jest zaopatrywany w pierwszej kolejności, systematycznie, bez braków, praktycznie we wszystkie artykuły.

Poziom odżywiania się tych, których praca nie została uznana za ważną dla odbudowy Państwa, lub tych, których zarobki są uregulowane, ograniczony jest jedynie sumą pieniędzy, które oni chcą lub mogą wydawać na żywność.

Braki i usterki działania występują natomiast na odcinku aprowizacji reglamentowanej, której znaczenie i pierwszeństwo jest bezsporne, niekwestionowane nawet przez tych, którzy nie mają prawa do kartek.

Wydaje mi się, że przedstawiony stan rzeczy wymaga pewnych środków zaradczych. Nie dyskutując słuszności i celowości przedstawionego wyżej systemu naszej aprowizacji, spróbujmy zastanowić się, co w funkcjonowaniu tego systemu musiałoby być uzupełnione, jakich korektur wymaga to równoległe funkcjonowanie rynku reglamentowanego i wolnego.

Nie mam niestety danych, które pozwoliłyby na stwierdzenie, jaka ilość ludności zaopatruje się na wolnym rynku, jakie są rozmiary ogólne i poziom spożycia tej grupy ludności. Niezależnie jednak od tego, uważam, iż przy istniejących brakach żywnościowych nie jest dla nas obojętnym ani rozmiar obrotów na wolnym rynku, ani poziom odżywiania się jego klientów.

Poza momentem wycofania z tego rynku dodatkowych ilości żywności na cele

aprowizacji reglamentowanej istnieją podstawowe momenty społeczne, związane z celowością i sprawiedliwością administrowania szczupłymi zasobami żywności, którymi kraj rozporządza. Nie możemy w okresie dotkliwych braków żywności, tolerować rozrzutności oraz jaskrawych dysproporcji w zaopatrzeniu poszczególnych grup społeczeństwa, rozpiętości uzasadnionych wyłącznie różnicami w poziomie siły nabywczej i zamożności tych grup.

Nie powinny istnieć takie dysproporcje jak niczym nieskrępowane wypiekanie bułek, ciasta, tortów, wtenczas, kiedy istnieją trudności w pokryciu przydziałów chleba kartkowego.

Nasze braki w zakresie mięsa i tłuszczy są znacznie jaskrawsze, niż w zakresie produktów zbożowych. Co więcej, braki te będą trwały znacznie dłużej. Przywrócenie poprzedniego stanu liczbowego zwierząt gospodarskich wymaga ograniczenia i kierowania rozmiarami uboju. Nieograniczony nacisk popytu, ofiarującego wysokie ceny, może w zakresie niektórych gałęzi hodowli np. bydła rogatego i cieląt, wywrzeć ujemne skutki. Z tych względów, jak również z uwagi na potrzeby aprowizacji reglamentowanej, należy ograniczyć swobodę uboju na wolnym rynku. Swobodę produkcji niektórych gatunków wędlin, swobodę handlu mięsem i spożycia mięsa. Przy czym rozumiem, że wprowadzenie tych ograniczeń nie jest łatwe. Ograniczenia te wywołają na pewno falę narzekań, usiłowania obchodzenia ich, łamania przepisów, „dostosowywania się" do nich itp. Niemniej, ograniczenia te muszą być wprowadzone i realizowane.

Przyjrzyjmy się teraz, jak obecny system dwutorowości obrotów towarowych rysuje się od strony zainteresowań rolnika oraz od strony zorganizowanego aparatu handlowego, jakim jest spółdzielczość.

Na skutek obowiązku świadczeń rzeczowych, pewna część rynkowej nadwyżki gospodarstwa rolnego jest zbywana po cenach sztywnych, znacznie niższych od cen wolnorynkowych. Sprzedając tę część nadwyżki, jaka zostaje rolnikowi po wykonaniu świadczeń rzeczowych, po cenach wolnorynkowych, uzyskuje on przeciętnie cenę, która decyduje o opłacalności jego produkcji. Opłacalność ta zależy zatem od dwóch czynników, od rozmiarów części nadwyżki produkcji, która idzie na świadczenia rzeczowe i od poziomu cen, jakie rolnik uzyskuje na wolnym rynku, za pozostałą część produkcji. Niekorzystny układ obu tych czynników, zmusiłby rolnika do sięgania po inny element, którym niestety często ratował się przed wojną, a mianowicie do ograniczenia rozmiarów własnej konsumcji.

Jak widzimy zatem, działający system wymaga skrupulatnych wyliczeń w zakresie ustalenia wysokości tzw. kontyngentów i zdrowego kształtowania się cen wolnorynkowych. Nie będziemy na tym miejscu omawiali wysokości wymiaru świadczeń rzeczowych.

Zastanówmy się teraz nad drugim czynnikiem, a mianowicie nad ceną produktów rolnych na wolnym rynku. Otóż obok poziomu tych cen, powinno nas interesować przede wszystkim, jaka część tych cen, płaconych obecnie na wolnym rynku, istotnie trafia w ręce rolnika. Jasnym jest, że zależy to w dużym stopniu od jakości aparatu pośrednictwa, ilości ogniw biorących udział w obrocie, racjonalności samego handlu, a więc przestrzegania standartów, płacenia lepszej ceny za lepszy towar, istnienia zorganizowanego systemu ujawniania poziomu kształtujących się na rynku cen, wyrównywania zbyt jaskrawych rozpiętości w poziomie cen lokalnych, przeciwdziałania spekulacyjnym zwyżkom lub spadkom cen, zafałszowaniom lub zanieczyszczaniom towarów itp.

Stwierdziwszy uprzednio, że pomiędzy poziomem cen, które otrzymuje rolnik na wolnym rynku, a wysokością wykonywanych przez niego świadczeń rzeczowych istnieje bardzo istotny związek, musimy z kolei stwierdzić, że stan organizacji handlu na wolnym rynku ma bardzo duży wpływ na wprowadzanie w życie nowego systemu aprowizacji oraz na opłacalność produkcji rolnej, a co za tym idzie i na tempo odbudowy tej produkcji. Z tych względów należało by poświęcić dużo uwagi i uczynić duży wysiłek w kierunku zorganizowania handlu na wolnym rynku. Panująca w tym zakresie złota wolność niweczy w poważnym stopniu te elementy ekonomiczne, które miały, w oparciu o istnienie wolnego rynku, stanowić dla chłopa wyrównanie twardego skądinąd obowiązku świadczeń rzeczowych.

Organizacja wolnego rynku powinna pójść w kierunku opanowania panoszącej się działalności czynników spekulacyjnych, usunięcia z tego rynku narastającej nowej armii zbytecznego i niefachowego pośrednictwa, obniżenia na tej drodze nadmiernych kosztów pośrednictwa. Właściwie działający aparat handlowy, którego trzon powinna stanowić spółdzielczość, powinien pomimo trudności transportowych przyspieszyć złagodzenie jaskrawych różnic lokalnych w poziomie cen, płaconych rolnikowi, a tym samym ułatwić wyrównanie poziomu kosztów utrzymania ludności nierolniczej w poszczególnych okręgach kraju.

Powiedzieliśmy wyżej, iż jednym z czynników, decydujących o opłacalności produkcji rolnej, jest poziom cen, jakie rolnik może uzyskać za swoje produkty na wolnym rynku. Uzupełniając to twierdzenie należy dodać, że poziom cen płaconych za poszczególne produkty rolne, decydować będzie w dużym stopniu o szybkości odbudowy poszczególnych dziedzin rolnictwa, a nawet o kierunku rozwoju naszego rolnictwa. I tak dla przykładu, wysokie relatywnie ceny na zboża i ziemniaki będą opóźniały odbudowę naszej hodowli. Wysokie ceny za mięso, będą skłaniały rolników do większej podaży na rynek bydła i cieląt, co znowu odbije się hamująco na odbudowie bydła rogatego. Wzajemny stosunek cen za mleko i masło będzie decydował o tym, jaka część z ogólnej produkcji mleka będzie przerabiana na tłuszcz, a jaka będzie rzucona na rynek w stanie płynnym. Z drugiej strony stosunek ceny paszy treściwej do mleka będzie w pewnym stopniu decydował o rozmiarach produkcji mleka.

Podobnych przykładów możnaby podać cały szereg. Chodzi po prostu o to, że kształtowanie się wzajemnego stosunku cen za poszczególne produkty rolne, powinno być wyrazem naszej polityki gospodarczej, którą ustalimy dla kierowania odbudową naszej produkcji rolnej. Zostawienie tego ważnego czynnika wolnej grze popytu i podaży wolnego rynku, przy istniejących tendencjach spekulacyjnych, anormalnych trudnościach transportowych i niedostatecznie zorganizowanym aparacie handlowym, może opóźnić osiągnięcie pożądanych dla naszej gospodarki kierunków w odbudowie rolnictwa, a nawet spowodować pewne niepożądane rezultaty.

Widzimy zatem, że na odcinku związanym z rolnikiem i odbudową produkcji rolnej, istniejący system wymaga konstruktywnego wkroczenia w te zjawiska gospodarcze, które kształtują się na rynku wolnym, w celu podporządkowania ich interesom nie jednostek, lecz całego społeczeństwa.

Popatrzmy z kolei, jak w istniejącym systemie dwóch rynków został użyty i działa nasz zorganizowany aparat handlowy.

Wspomnieliśmy wyżej, że realizacja świadczeń rzeczowych oparta została na jedynym zorganizowanym aparacie handlowym, posiadającym formę która zapewnia właściwą kontrolę społeczną, a mianowicie na spółdzielczości.

Aparat ten bierze najbardziej bezpośredni udział w wykonywaniu zadań aprowizacyjnych. Jasnym jest, że spełniając codziennie funkcje gromadzenia i rozdziału zasobów żywności na całym obszarze Państwa, spółdzielczość jedynie marginesowo działa na wolnym rynku. Działalność spółdzielczości, mająca jak to wspomniałem, podstawowe znaczenie dla funkcjonowania aprowizacji jest jednak siłą rzeczy wtłoczona w sztywne ramy.

Odbiór świadczeń rzeczowych jest raczej czynnością techniczną niż handlem. Zarobki spółdzielczości na tym odcinku działalności sprowadzają się do pokrycia właściwych kosztów handlowych. Rozporządzając potężnym aparatem organizacyjnym, spółdzielczość nasza nie wykonywuje nawet szerszej akcji interwencyjnej, czy to na rzecz rolnika czy to konsumenta. Otóż w tym samym czasie niekrępowany niczym wolny rynek jest terenem działania, jak to już wspomniałem, nowej armii pośrednictwa, spełniającej tylko w małym stopniu te zadania, jakich powinniśmy wymagać od zorganizowanego handlu.

I na tym odcinku panująca wolność, wymaga mądrych i planowych ograniczeń.

Przede wszystkim należy dążyć do tego, aby zorganizowany aparat spółdzielczy mógł najszybciej uzyskać należny mu udział w obrotach na wolnym rynku. Powinien on wywrzeć potężny wpływ interwencyjny w celu zapewnienia właściwych cen rolnikowi i ukrócenia działalności spekulacyjnych elementów, działających na wolnym rynku. Należałoby poza tym ustalić metody, zmierzające do podniesienia fachowych kwalifikacji prywatnego handlu, działającego na tym rynku, np. przez zastosowanie koncesjonowania firm prywatnych, przymusu należenia do zrzeszeń branżowych itp.

Niemniej ważnym zagadnieniem jest uruchomienie działalności giełd zbożowo-towarowych, komisyj targowiskowych, uregulowania standartów lub klasyfikacji jakości produktów rolnych, uruchomienie aukcji towarowych itp. Należałoby poza tym opracować plan najniezbędniejszych inwestycyj techniczno - handlowych, jak magazyny, elewatory, chłodnie, rzeźnie, urządzenia do wyzyskiwania odpadków itp.

Reasumując — istnienie naszego systemu aprowizacji reglamentowanej obok rynku wolnego, wymaga w imię podstawowych potrzeb gospodarczych Państwa, wprowadzenia pewnych planowych posunięć, które stworzyłyby koordynację obu odcinków obrotu towarowego, dałyby możność ograniczenia swobody i poziomu zaopatrywania się na wolnym rynku, kontroli cen na tym rynku, mającej na celu ograniczenie spekulacji i nadmiernego pośrednictwa, wreszcie stworzenia podstaw dla rozwoju zdrowego handlu spółdzielczego i prywatnego, jak również podniesienia fachowego i technicznego poziomu tego handlu.

B. Iwaszkiewicz

Wiersze Andrzeja Nowickiego*)

W ostatnich czasach, zarówno przed wojną, jak i obecnie, dużo się mówi o tzw. „niezrozumialstwie w poezji". Pojęcie to nie nowe; na przestrzeni lat używano rozmaitej terminologii dla stwierdzenia, że poeta jest niezrozumiały. Tak było u nas z Norwidem, tymi samymi pojęciami szermowała krytyka warszawska wobec młodego Mickiewicza. Nowatorstwo zawsze było narażone na ten zarzut ze strony przedstawicieli utrwalonych kierunków. W „niezrozumialstwie" jest jednak relatywizm: dzisiejsi nowatorzy jutro będą popularnymi poetami, czytelnymi dla mas. Wydaje mi się, że o popularności poety ze względu na jego „zrozumiałość" decyduje ostatecznie znajomość realiów u jego czytelników. Nie ma jakiegoś niezrozumialstwa idealnego. Wreszcie najciemniejsi, najzawilsi poeci mieli jakąś grupę wielbicieli i glossatorów: Norwid, Blake, Mallarme. Dlatego też wydaje mi się, że zarzuty niezrozumialstwa, którymi przeważnie hojnie szafowała krytyka mieszczańska w stosunku do wszelkiego nowatorstwa w poezji są o tyle nieistotne, że wystarczy, by dany czytelnik, czy dana grupa czytelników, rozszerzyła zakres apercepowanych przez siebie realiów, by i słownictwo poety i jego styl i architektura wiersza przestały wywoływać w nich wrażenie niezrozumialstwa.

Szeroka publiczność czytająca wiersze lubi poetów zrozumiałych, to znaczy takich, których zakres realiów odpowiada mniej więcej zakresowi realiów publiczności. Stąd ogromne powodzenie poezji, z wczesnego co prawda okresu, Tuwima i Wierzyńskiego, stąd wyforowanie się tych dwóch poetów oraz Lechonia na czołowe stanowiska w poezji polskiej lat 1920 — 1939, przy równoczesnym pogrążeniu w całkowitym zapomnieniu np. poety tej miary co Zygmunt Karski.

Wymienieni przedstawiciele „Skamandra" nie napisali ani jednego wiersza, który mógłby być niezrozumiany przez mieszczańską publiczność. Wczesne obrazoburcze utwory Tuwima epatowały w gruncie rzeczy mieszczucha, ale za to rozumiał on każde ich słowo. Ten okres twórczości Tuwima, okres „chandry unyńskiej" i z pozoru realistycznych wierszy, był źródłem natchnień dla szeregu poetów młodszego pokolenia. Smak tych rzeczy był silnie rozprzestrzeniony i w pewnej mierze hamował rozwój poezji polskiej. Pamiętajmy, że gdy u nas, współcześnie zresztą prawie do Francji, począł się zaznaczać surrealizm (wczesne tomy Ważyka), poezja polska tkwiła po uszy w gawędziarstwie, uroczym zresztą, Lechonia, w przebrzmiałych siewierianinadach Wierzyńskiego i w ekspresjonizmie Tuwima. To spóźnienie, to podporządkowanie poezji gatunkom reprezentowanym przez trzech skamandrytów wyboszlawiło w dużej mierze przyzwyczajenia i smak tej niewielkiej zresztą u nas, garstki mieszczańskich odbiorców poezji. Nic też dziwnego, że tylko twórczość nielicznych odbiegała od schematu.

Nie należy do nich napewno autor omawianej przeze mnie książki wierszy. Nie mam zamiaru oczywiście zarzucać Nowickiemu, że upodobał sobie pewien określony gatunek poezji. Nie można słowikowi kazać być kolibrem, natomiast można i należy się zastanowić, czy ów słowik śpiewa jak należy. Niewątpliwie tak! „Podróż do świętej ziemi" jest tomem wierszy odpowiadających całkowicie postulatom „zrozumialstwa". To jest tom wierszy do czytania! — zawoła ucieszony czytelnik.

Te wiersze były pisane w obozie jenieckim w latach 39 — 45. I z tego względu tłumaczymy sobie wszelkie spotkane w tomie banalizmy i sentymentalności raczej dodatnio. Odległość od najbardziej szarej rzeczywistości każe ją widzieć w interesujących barwach.

Wiersze poświęcone Warszawie są banalne, przypominają raczej teksty piosenek z dobrego kabaretu. Pełno w nich stylizowanej prostoty i tzw. „wdzięków", kalamburów i wszelkich atrybutów sentymentalnego ironizowania. Ale już taki wiersz jak np. „Rynek" nie powinien się znaleźć w książce. Bywają prostoty żenujące! Poza pejzażami znajdziemy tu wiersze werbalistyczne, jakby żywcem wyjęte z „Karmazynowego poematu" Lechonia („Melodia"), „Sport staromodny" żywo przypomina podobne stylizacje Tuwima, „Złota puszka" przypomina nieraz i Balińskiego i Iwaszkiewicza z oktostychów.

Wiersze Nowickiego to typowa poezja przymiotników: charakterystyczny to chwyt dla przeciwników konstrukcji przemyślanych, dla impresjonistów. Mówiłem już o „wdziękach" i o kalamburach: rodowód tej poezji sięga czasem i Hemara, a szumiało nad nią na pewno to samo drzewo genealogiczne, które strącało swoje liście na szpalty ostatnich kolumn „Wiadomości Literackich", gdzie drukowano kalamburowe i żartobliwe utwory. Taka uwaga nasuwa się, gdy czytam czterowiersz „O Prouście".

Motyw rosyjski, tak charakterystyczny dla Tuwima, złożony z klasycznych, wedle pewnych opinii, elementów: smutku, sentymentu, bezradności, nostalgii i u Nowickiego znajduje swoje opracowanie, raz jeszcze potwierdzając wyprowadzony przeze mnie rodowód poety. Myślę tu o wierszu „Minione wrześnie".

Tom Nowickiego uzupełnia poemat „Ślad Cherubina", do którego stosują się właściwie wszelkie wypowiedziane poprzednio uwagi. Wypada nadmienić tylko że poemat pisany jest bardzo urozmaiconym metrum i złożony z form bardzo rozmaitych, często kunsztownych.

Reasumując: tom Nowickiego reprezentuje typ poezji narracyjnej, staranną formę według skamandryckich wzorów, idealną poprawność budowy obrazu według recept, cieszących się ogólnym uznaniem przeciętnego czytelnika. Te wiersze cierpią na idealne „zrozumialstwo", nie ma w nich nic, co by mogło zmusić czytelnika do rozszerzenia zakresu, przyswojonych już sobie w ciągu wieloletniej lektury trzech skamandrytów, realiów.

I dlatego wydaje mi się, że jakkolwiek wiersze Nowickiego stoją na wysokim poziomie technicznym, to przecież nic istotnie nowego do poezji naszej nie wnoszą. Będą miłą lekturą dla tych, którzy z upodobaniem wsłuchują się w echa piosenek i wierszy na zawsze zamkniętego czasu.

Paweł Hertz

*) Andrzej Nowicki: Podróż do świętej ziemi „Czytelnik", 1945; 46 str.

W. MAJAKOWSKI
DOBRZE!
Poemat październikowy
Przełożył ARTUR SANDAUER
Spółdzielnia Wydawnicza
„KSIĄŻKA" – 1945. Str. 70.
Do nabycia we wszystkich
księgarniach. 18 zł.

Rozmaitości

Krakowska Dreyfusada

Bywają podobno czasy, kiedy literaci mogą spokojnie zajmować się wyłącznie literaturą, malarze — malowaniem, uczeni — dociekaniami naukowymi. Nie są to nasze czasy. Przypomniał nam o tym wypadek, który zaszedł w Krakowie. Wypadek drobny, bo w grę wchodzi godność i dobre imię jednej tylko osoby. Błahy, bo idzie o wykończenie moralne tylko jednej kobiety. Ta kobieta ma na rachunku swojego życia poważne grzechy. Była żołnierzem Pierwszej Dywizji Polskiej w ZSRR, oficerem polityczno - wychowawczym Pierwszego Korpusu i Pierwszej Armii, pracowała od pierwszych dni w Lublinie w Ministerstwie Kultury i Sztuki, przybyła do Krakowa z pełnomocnikami Rządu Tymczasowego, zorganizowała Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, co gorzej — zorganizowała go na serio i została zastępcą naczelnika tego urzędu. Takich grzechów rodzima reakcja nie wybacza łatwo. Z pomocą intrygantów, których nazwiska nie zostały jeszcze ujawnione, koltuneria i reakcja zrobiła z Joanny Guzówny kozła ofiarnego.

Sprawa Joanny Guzówny zelektryzowała literatów, malarzy, intelektualistów. O sprawie Joanny Guzówny szumi cały Kraków. Sprawa przedstawia się tak: Joanna Guzówna przed wieloma miesiącami zameldowała, że w pakiecie pieniędzy, który przeszedł drogą urzędową przez jej ręce, brakło 50 tysięcy złotych. Meldunek, opatrzony referencjami ówczesnego wojewody krakowskiego, obecnego posła Rzplitej w Sztokholmie, Ostrowskiego oraz płk. Jaroszewicza, zwierzchnika Guzówny w wojsku, referencjami stwierdzającymi nieposzlakowaną uczciwość Guzówny, wywołał ten skutek, że po kilku miesiącach osadzono Guzównę w areszcie pod zarzutem defraudacji 50 tysięcy i sfałszowania kwitów za kupno książek w księgarniach na sumę 10 tysięcy. Natychmiast ukazała się w „Dzienniku Polskim" w Krakowie pod nieobecność redaktora i jego zastępcy notatka p. t. „Aresztowanie defraudantki". Komuś tam bardzo zależało, aby przedstawić jako defraudantkę osobę, znajdującą się pod śledztwem. Sprawa o defraudację została w śledztwie umorzona, ale nazwisko koltuneria już zaszargała, a wraz z nazwiskiem cały dorobek moralny, który reprezentuje w sferach inteligencji przeszłość Guzówny.

Śledztwo w sprawie 10 tysięcy trwa. Idzie o rozstrzygnięcie, kto przedstawił sfałszowane kwity, Joanna Guzówna, czy księgarz, nawykły w latach praktyki okupacyjnej do nabierania urzędów podatkowych. Opinię o nieposzlakowanej uczciwości Guzówny przesłali sędziemu śledczemu profesor uniwersytetu krakowskiego dr Hubert, prezes krakowskiego oddziału Związku Plastyków Rzepiński, prezes oddziału krakowskiego Związku Literatów Andrzejewski, redaktor „Odrodzenia" Kuryluk, literaci Zbigniew Bieńkowski, Brandys, Breza, Dygat, Wyka, Zawiejski. Jeśli kogoś pominąłem, to proszę o wybaczenie. Każdej chwili znajdzie się jeszcze dziesięciu literatów, dziesięciu malarzy i dziesięciu naukowców, którzy taką samą opinię wystawią tej „defraudantce".

Jaki był skutek tych opinii? Sędzia śledczy nie zmienił środka zapobiegawczego. W imię aktualnej dziś walki z nadużyciami, czy w imię wczorajszej pogardy dla wartości moralnych ludzi sztuki i nauki?

Koltuneria zaciera ręce, bo przecież literaci, którzy narazili się jej bardzo, jako że w pierwszym szeregu inteligencji odezwali się na apel demokracji, ci literaci, moja pani Reakcjo, odbywali w mieszkaniu Guzówny swoje słynne orgie. Tam, w tym zakazanym mieszkaniu, aż dwukrotnie pito czarną kawę i odprawiono czarną mszę. Tańczono na luksusowych meblach kankana, a potem trepaka. Standartowe nowoczesne meble, zabrane po hitlerowskim urzędniku Bullerze, który zagnieździł się swego czasu w jednym z pokojów mieszkalnych na Wawelu, szalejąca plotka zamieniła w zabytkowe meble wawelskie i rozpowiada się po Krakowie, że w mieszkaniu tej — tej znaleziono klęcznik królowej Jadwigi!

Ach tak, zapomniałem o najważniejszym grzechu Joanny Guzówny, o tym, że jest żydowskiego pochodzenia.

Sprawa Joanny Guzówny nie może być traktowana jak drobna sprawa jakiegoś urzędnika. Nie wystarczy wyświetlić, jaką rolę odgrywa w niej obecny dyrektor departamentu muzeów i zabytków. Nie wystarczy przyśpieszenie śledztwa. Sprawa przerosła w prowokację moralną i polityczną pod adresem postępowych sfer inteligencji. Osobliwe okoliczności i niepokojące akcenty w trybie dochodzenia znakomicie tej prowokacji sprzyjają. W tę samą aferę próbowano równocześnie wplątać inną urzędniczkę, żonę lewicowego literata. Nie wyszło, ale i bez tej okrasy koltuneria zapewniła sobie efekt moralny. Sprawa nabrała takiego właśnie rozgłosu, jakiego sobie życzy reakcja. Wyzwanie trzeba przyjąć, aby nadać sprawie rozgłos i wydźwięk właściwy.

ADAM WAŻYK

Dwugłos o wystawie
Krakowskiego Związku Plastyków

Czy epoka, w której żyjemy, posiada swoje malarstwo?

To pytanie w niespodziewany sposób spadło na mnie i zaniepokoiło nie na żarty, gdy powolnym spacerem przemierzałem sale Miejskiej Galerii Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Ale nie będę rozpoczynał tej przechadzki wśród obrazów malarzy z krakowskiego Związku Polskich Artystów Plastyków — od medytacji nad tym niebezpiecznym pytaniem. Tym bardziej, że jest to pytanie znacznie szerszej natury, pytanie, dla którego te płótna, wiszące tu na ścianach, są tylko pretekstem. Powrócę do niego później. Tymczasem — mówić będę o tej wystawie tak, jak ona sama swym charakterem do tego zmusza, będąc w swych najlepszych pozycjach jedynie echem, odbleskiem XIX i wczesnych początków XX wieku. Takie same, zupełnie takie same — choć niekiedy na lepszym poziomie — były nasze wystawy przedwojenne.

Równocześnie jednak jest jej oczywistym plusem, że na ogół — jak podkreślono w przedmowie do katalogu — „na wystawie przeważa kolor jako główny sens malarstwa, tak, jak w muzyce dźwięk". Dzięki temu wystawa ta w swych poważniejszych pozycjach mieści się w wielowiekowym nurcie prawdziwego malarstwa. I dzięki temu też warto w ogóle o niej pisać i warto wyprowadzać — z przechadzki po niej — zagadnienia ogólniejszej właśnie i zasadniczej natury.

Wśród czterdziestu pięciu nazwisk wystawiających tu malarzy głębsze zainteresowanie budzi Pronaszko, Rudzka-Cybisowa, Sokołowski, Studnicki, Wielowiejska-Ratkowska, Marczyński, Fedkowicz, może jeszcze Eibisch... Reszta — to albo malarze zaskrzepli w swej seryjnej manierze, jak Borowski, albo starzy, którym przez całe życie nie udało się odkryć tajemnic malarstwa, jak Jarocki, albo wreszcie tacy, których ewentualny talent nie zdołał jeszcze objawić się na ich płótnach w mierze dostatecznie widocznej.

Wspomnę tu tych tylko, których obrazy są rzeczywiście malarskie w sensie świadomego i celowego organizowania elementów plastycznych na prostokącie płótna. Oto dwa portrety i dwie martwe natury Zbigniewa Pronaszki. Martwe natury interesujące: Czerwone a mimo to chłodne na innej czerwieni tła, kwiaty — grają intensywnym światłem. Drugi obraz w spokojnej, zimnej gamie, w której zieleń jabłek mocno tkwi wśród szarych bieli. Portrety mniej dźwięczne i mniej zwarte w całości. „Portret mężczyzny", mimo niby subtelnych zestawień—dość głuchy w swej sztucznej gamie, uzyskanej przebieleniem wszystkich kolorów. O ileż ciekawszy jest „Akt" Wielowiejskiej-Ratkowskiej! Kto wie, czy to nie najlepszy obraz na wystawie. Żółto-różowe tło, przy którym akt kobiecy staje się chłodny, chociaż otoczony zieloną plamą kanapy. Świetny w efekcie akcent czerwonego kawałka twarzy, zasłoniętej ręką, przy niebieskim czepku. Całość mocno zwarta w kompozycji, śmiało zbudowana.

Nabardziej jednolitym w całości obrazem Hanny Rudzkiej-Cybisowej wydaje mi się być „Okno". Jest to zresztą — nota bene — czysty impresjonizm bardzo starej daty. Ale konstrukcja, oparta na kilku plamach rozmaitej zieleni jest konsekwentna i zwarta w swej gamie. Portret już nie tak jednobrzmiący: Potylko w całości: ów pejzaż zamknięty w chłodnych zieleniach i floletach. „Martwa natura z papugami" zdezorganizowana kolorystycznie, hałaśliwa. Niezła jest jedna z martwych natur Jerzego Fedkowicza — o śmiałych zestawieniach zieleni i czerwieni na ugrowym tle. Obrazy Elbischa zbyt niestety brudne w kolorze. Stosunkowo jeszcze najefektowniejszy — portret na ultramarynowym tle. Natomiast szkoda, że nie można na tej wystawie zidentyfikować autora portretu siwego pana na niebieskim tle: Obraz dobry, o spokojnej i zwarcie zbudowanej całości.

Przechadzam się i patrzę; Jest jednak w tym wszystkim, nawet w obrazach najlepszych, objaw epigonizmu tak już pozbawionego wszelkiej własnej żywotności, że mimo woli narzuca się pytanie, czy ci artyści malarze czują

Rudzka - Cybisowa: Portret

w ogóle świat, którym oddychają. Epoka kotłuje się od burz, zatrzęsła wszystkim straszliwa groza wojenna, a tymczasem nie zmienił się właściwie od dziesiątków lat ani jeden rys w wyrazie tych obrazów, które mijam wzrokiem. Byłaby może — w tej obojętności wobec doraźnych wydarzeń — nawet imponująca wielkość, gdyby malarstwo to opierało cię na jakichś głębszych, niż wydarzenia, trwalszych cechach epoki. Ale jeżeli to, na czym się opiera, to jest w istocie rzeczy ciągle jeszcze wiek XIX?

Jasne jest, że gdy mówię o obojętności malarzy na wydarzenia, to nie myślę przecież o konieczności wprowadzania tematyki odpowiedniej. (Chociaż co prawda tematyka bywa czasem rzeczą wielce inspirującą powstawanie współczesności stylu). Malarstwo wypowiada swoją epokę czymś głębszym i jednocześnie obszerniejszym, niż temat: Sposobem i brzmieniem plastycznego wyrazu. Tak też bywało zawsze, gdy sięgniemy myślą do włoskiego Renesansu, do Holendrów... A czyż impresjonizm francuski XIX wieku — w szerokiej skali pomiędzy Cezannem a Monetem — nie wypowiadał podówczas najtrafniej charakteru swoich czasów?

Czy to pewnego rodzaju kryzys w naszym malarstwie dzisiejszym? Może brak wielkich, a głęboko i realnie tkwiących w życiu społecznym talentów, poprzez które umiałaby krzyknąć epoka? W każdym razie właściwy styl współczesności jest ciągle jeszcze w malarstwie nieodnaleziony, niewypowiedziany.

Wielowiejska - Ratkowska: Akt

stać, namalowana jak u Maneta, kłóci się raczej z twardą walorystycznością krzesła. Martwa natura trochę zbyt brutalna w swej kolorowości, bo nie utrzymana w gamie.

Pejzaż Jana Sokołowskiego — to spokojny, klasyczny rezultat wyraźnie widocznej wiedzy o malarstwie i pewności rzemiosła. Szarozielony, pełen subtelnego nastroju malar' doskonale zważony i zamknięty w swej całości. Obraz Juliana Studnickiego „Przed widowiskiem" mniej zrównoważony, lecz za to bardziej inwencyjny w sensie poszukiwań własnego wyrazu. Trochę dziwny w gamie i w swym nasyceniu światłem — tchnie jednocześnie jakimś bodajże właśnie wnikliwym realizmem. Nie jest nic konwencjonalny wśród otaczającego go na tej wystawie impresjonizmu, który już od dawna staje się konwencjonalny.

Wśród prac Adama Marczyńskiego jeden tylko pejzaż jest dostatecznie jednolity i zwarty w całości: ów pejzaż zamknięty w chłodnych zieleniach i floletach. „Martwa natura z papugami" zdezorganizowana kolorystycznie, hałaśliwa. Niezła jest jedna z martwych natur Jerzego Fedkowicza — o śmiałych zestawieniach zieleni i czerwieni na ugrowym tle. Obrazy Elbischa zbyt niestety brudne w kolorze. Stosunkowo jeszcze najefektowniejszy — portret na ultramarynowym tle. Natomiast szkoda, że nie można na tej wystawie zidentyfikować autora portretu siwego pana na niebieskim tle: Obraz dobry, o spokojnej i zwarcie zbudowanej całości.

Przechadzam się i patrzę; Jest jednak w tym wszystkim, nawet w obrazach najlepszych, objaw epigonizmu tak już pozbawionego wszelkiej własnej żywotności, że mimo woli narzuca się pytanie, czy ci artyści malarze czują w ogóle świat, którym oddychają. Epoka kotłuje się od burz, zatrzęsła wszystkim straszliwa groza wojenna, a tymczasem nie zmienił się właściwie od dziesiątków lat ani jeden rys w wyrazie tych obrazów, które mijam wzrokiem. Byłaby może — w tej obojętności wobec doraźnych wydarzeń — nawet imponująca wielkość, gdyby malarstwo to opierało cię na jakichś głębszych, niż wydarzenia, trwalszych cechach epoki. Ale jeżeli to, na czym się opiera, to jest w istocie rzeczy ciągle jeszcze wiek XIX?

Jasne jest, że gdy mówię o obojętności malarzy na wydarzenia, to nie myślę przecież o konieczności wprowadzania tematyki odpowiedniej. (Chociaż co prawda tematyka bywa czasem rzeczą wielce inspirującą powstawanie współczesności stylu). Malarstwo wypowiada swoją epokę czymś głębszym i jednocześnie obszerniejszym, niż temat: Sposobem i brzmieniem plastycznego wyrazu. Tak też bywało zawsze, gdy sięgniemy myślą do włoskiego Renesansu, do Holendrów... A czyż impresjonizm francuski XIX wieku — w szerokiej skali pomiędzy Cezannem a Monetem — nie wypowiadał podówczas najtrafniej charakteru swoich czasów?

Czy to pewnego rodzaju kryzys w naszym malarstwie dzisiejszym? Może brak wielkich, a głęboko i realnie tkwiących w życiu społecznym talentów, poprzez które umiałaby krzyknąć epoka? W każdym razie właściwy styl współczesności jest ciągle jeszcze w malarstwie nieodnaleziony, niewypowiedziany.

Bo czy buduje się on w pracowniach największych dzisiaj mistrzów, w paryskich pracowniach Matisse'a, Bonnarda, czy Picassa? Nie wiem. Może. O Picassie mówi się obecnie na Zachodzie z nowym przypływem zainteresowania i entuzjazmu. Miałem teraz okazję widzieć tylko album barwnych reprodukcji obrazów Matisse'a z okresu ostatniej wojny. Ten osiemdziesięcioparoletni starzec maluje w każdym razie z młodzieńczą świeżością i wrażliwością. Są to rzeczy dekoracyjne w charakterze, jak i wszystkie jego prace dawniejsze, ale nieustanny dynamizm w nich tkwiący nie pozwala z lekkim sercem odesłać tego do lamusa. Czekajmy.

Juliusz Żuławski

Kraków zebrał w chwili obecnej sporą część naszych najżywotniejszych plastyków, stąd wystawa daje poważne odzwierciedlenie dzisiejszych wysiłków i dążeń malarskich w Polsce.

Podejście malarzy wydaje się być jednolite. Sądzę, że uważać to można tylko za objaw dodatni. W dość długo trwającym chaosie lat międzywojennych, dużo wysiłku twórczego, najlepszej woli i czasu, marnowało się w próbach, łamigłówkach i intelektualnych rozważaniach. Poszukiwanie nowości, wielorakie wpływy, sugestie, że obraz musi być oryginalny, mąciły wizję, odsuwały kryterium, utrudniały dostęp, rozrywając myśl w pogoni za kierunkami.

Nie chcę rozważać wartości owych poszukiwań, przypuszczam, że miały swój sens i były potrzebne dla całości ewolucji sztuki, — mimo to z uczuciem ulgi i radości stwierdzam, że sztuka ujednoliciła się: są wspólne dążenia, wspólne poszukiwania. Tylko taki zbiorowy wysiłek stworzy indywidualną, postawioną sztukę Polską.

Korzenie tej sztuki wywodzą się niewątpliwie z malarstwa francuskiego, z impresjonizmu i postimpresjonizmu. Byłoby dziecinne robić zarzuty z tego powodu malarstwu polskiemu. Francja w XIX w. wytrysnęła sztuką żywą, sztuką o nowej wizji natury. Czerpanie z tego źródła jest tylko wyrazem żywotności naszej sztuki, kontynuowanie jej na tych wzorach daje gwarancję trwałych i doniosłych wyników.

Przy tym malarstwo nasze ewoluuje, idzie już dziś swoją drogą, narzuconą przez zdolniejsze jednostki, nabiera siły, zaczyna mieć swój styl, styl sztuki uczciwej, opartej o transpozycje natury na materiał malarski, z całą powagą i wysiłkiem jaki dać może jasno wytknięty cel. Natura, która zawsze zapładniać będzie umysł artysty niezależnie od epok, bo tak różnorakie ma oblicze, udziela plastykom w dobie obecnej wizji coraz konkretniejszej i niewyczerpanej w możliwościach.

Dojrzałość pracy malarskiej zależeć będzie od skonkretyzowania, od doskonałości owej wizji.

Podejście takie daje swobodę, o której śnić nie może poszukiwacz rozmaitych mózgowych form i kierunków. Stąd też, przy dość jak stwierdziliśmy jednolitym założeniu, wypowiedzi plastyków są różne, zależnie od charakterów i temperamentów.

Rzetelne i śmiałe jest podejście do malarstwa Czesława Rzepińskiego. Zdolny ten malarz, którego pamiętamy z wystaw przedwojennych z barwy jasnej, kolorowej i przejrzystej, wystąpił mocny, poważny w dwóch portretach kobiecych. Jeden z nich, wytrzymany w gamie ciemnej z przewagą czerni, nasuwa w ogólnej koncepcji kolorystycznej wizje malarstwa hiszpańskiego. Portret ten jest osiągnięciem, dającym wyraz wielorakich możliwości pogłębiania obrazu i swobodnej pracy twórczej.

Drugi — to wesoły portret młodej kobiety w sukni w kwiaty, w którym śmiałe zestawienia składają się na wdzięczną zwartą gamę kolorystyczną.

Eibisch pokazuje nam kilka płócien świadczących o innym zgoła temperamencie malarskim. Płótna te gwałtownie malowane drgają pełnią i jednolitością, którą daje szybka decyzja. Z mistrzostwem, tłusto nakładana farba łączy się w piękną kolorystycznie, emaliowaną powierzchnię, lśniącą i wibrującą.

Nieoczekiwane zestawienia, wynikające czasem z przypadkowości, właściwych tego rodzaju malarstwu, rozmach kolorystyczny, wyodrębniają tego artystę i przykuwają uwagę. Śliczny portret dziewczynki z rozpuszczonymi włosami, świadczy o maestrii do której doszedł Eibisch we władaniu farbą.

Z piękną swobodą traktowana jest „martwa natura" Z. Pronaszki, utrzymana w srebrnych tonach, pełna umiaru, cichych zestawień o wytwornym smaku. Ta martwa natura jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych obrazów na wystawie. „Kwiaty i maski" Pronaszki, różowe astry na czerwonym tle, mają również ładnie przeprowadzone liliowości i wibrujący kolor.

Prace Marczyńskiego mają gamę bardzo indywidualną, jasną, dekoracyjną, o zestawieniach przypominających nieraz nieobecnego dziś w Polsce kolorysty, Potworowskiego. Malowany szerokimi, płaskimi rzutami pendzla pejzaż Marczyńskiego, ma w sobie lekkość i elegancję motyla.

Wyróżnić należałoby martwą naturę Wojciechowskiego, ciemną i poważną w gamie.

Z nielicznych kompozycyj na wystawie, bo policzyć by je można chyba na palcach jednej ręki, z dużą kulturą i wiedzą przeprowadzona jest kompozycja Łady Studnickiej. „Przed widowiskiem" Studnickiego to płótno przejawiające wybitne zdolności tego artysty w postawieniu kompozycji figuralnej — jednak barwy piękne przy zbyt bliskim oglądaniu, zanikają już z niewielkiej odległości.

Tyle wyszczególnień. Wiele jeszcze jest na wystawie poważnego malarstwa, przeważa jak zauważyliśmy martwa natura i portret. Portret, który w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat jest zawsze problemem, wyłania się na tej wystawie jako koncepcja dojrzała i powinna ona mieć swój wpływ na poszukujących właściwej dla portretu drogi — młodych malarzy.

Łódź wdzięczna jest Krakowskiemu Związkowi za możność obejrzenia szeregu prac, które zapamięta i wyniesie z tego odpowiednią korzyść.

Teresa Tyszkiewiczowa

NOTY

SAMI NIE WIEMY CO POSIADAMY

W numerze wrześniowym angielskiego miesięcznika „Our Time", poświęconemu sprawom „literatury, teatru, sztuki, muzyki i filmu", pan Raymond Arthur Davies ogłosił artykuł o współczesnych pisarzach i powojennym piśmiennictwie polskim po swojej wizycie w Krakowie, gdzie przyjmowany był — wraz z innymi korespondentami pism zagranicznych — przez krakowski oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. Tytuł artykułu dość odpowiedzialny: „Polish Writers and the Future".

Kto to są ci polscy pisarze? — stawia pytanie Davies. I oto, co się okazuje: pierwszoplanowe postacie, to powieściopisarka Eugenia Kocwa, której wypowiedź na temat jej zamiarów pisarskich przytacza pan Davies niemal jako credo polskiej literatury. Dalej poetka Sophie Zzgtyńska. Dużo mowy o Kseni Zhytomirskiej (a w innym miejscu o Zhitomirskiej), jak to zmuszona była w czasie okupacji sprzedawać swoje powieści i swoje sztuki teatralne po cenach równych cenie jednej pary butów. Wspomniane zostało co prawda i nazwisko Kazimierza Wyki, jako prezesa krakowskiego Związku, jako też mimochodem nazwiska Andrzejewskiego i Otwinowskiego, ale na tym lista się kończy. Obraz współczesnej literatury polskiej został w swych zasadniczych liniach przed oczyma publiczności angielskiej naszkicowany.

Gorzej, że pan Raymond Arthur Davies, goszczony na specjalnym zebraniu w domu Związku przy ulicy Krupniczej, miał prawo spodziewać się, iż stoi u właściwego źródła informacji. Ale widocznie ugoszczono go nieco ponad miarę. Dochodzą nas słuchy, że sam prezes krakowskiego Oddziału zdecydował się szybko — wobec tak wyjątkowej okazji — sprzedać wydawcy kilka swoich książek za cenę pary butów i uraczył gościa angielskiego czystą monopolową aż do utraty przytomności.

sz

ABERACJE JANA BRZOZY W „ODRZE"

Utalentowany pisarz lwowski Jan Brzoza, który osiedlił się na ziemiach zachodnich, ogłosił w „Odrze" (Nr 10) artykuł pt. „W sprawie Wasylewskiego". Brzoza próbuje wziąć w obronę Wasylewskiego, który był redaktorem gadzinówki niemieckiej „Gazety Lwowskiej". Jak wiadomo Walny Zjazd Literatów potępił Skiwskiego, Burdeckiego i Wasylewskiego za to, że splamili swoje pióro współpracując z okupantem. Jan Brzoza przyznaje, że nie zna dokładnie przebiegu Zjazdu, bo nie był na nim obecny. Trudno wymagać, aby odkładano termin Walnego Zjazdu Literatów nawet dla tak utalentowanego pisarza, jak Brzoza, można natomiast wymagać od każdego literata, aby rzetelnie poinformował się, o czym była mowa na Zjeździe, zamiast bałamucić czytelników swoją ignorancją. Wtedy nie zadawałby niedorzecznych pytań w sprawie Ferdynanda Goetla i nie wyskakiwałby jak Filip z konopi.

Brzoza kwestionuje stanowisko Walnego Zjazdu wobec działalności pisarskiej Wasylewskiego. Sprawa jest natury moralnej. Brzoza uważa widocznie, że sam stoi ponad poziomem moralnym Zjazdu Literatów i to go upoważnia do bronienia kolaboracjonisty. Czy nie za wiele pewności siebie?

Oto rozczulające argumenty Brzozy: „Wasylewski siedział w „Gazecie Lwowskiej" w charakterze dyrektora i robił makiety do przesłanych mu z góry artykułów z Telepressu i według wskazówek naczelnego redaktora Niemca ,czy coś w tym rodzaju"... Itd. Czy Brzoza kpi czy o drogę pyta? Następnie porównuje Brzoza działalność pisarza kolaboracjonisty z tymi aktorami, którzy grali za czasów niemieckich. Smutne to bardzo, kiedy literat Jan Brzoza nie dorósł do zrozumienia odpowiedzialności moralnej pisarza i ciężaru gatunkowego jego działalności. Jeszcze smutniejsze jest to, że Jan Brzoza powołuje się na pewne sfery naukowe, które nie odgrodziły się od kolaboracjonistów i stawia je za wzór pisarza. Brzoza nie rozumie, że duma pisarzy polskich jest nieprzejednaną postawą ogółu literatów wobec okupanta i tym dobitniej odgradzać się będą od kilku sługusów hitlerowskich, których policzyć można na palcach jednej ręki.

Jeśli Jan Brzoza jest członkiem Związku Literatów, warto było by poprosić Zarząd Związku, aby go na przyszłość oświecił. Od redakcji „Odry" nic rozumnego w tej sprawie nie można oczekiwać, skoro udzieliła miejsca ponuremu wybrykowi Jana Brzozy. „Odra" zamieściła apologię kolaboracjonisty jako artykuł dyskusyjny. Dziwne ma „Odra" wyobrażenie o tym, co się nadaje do dyskusji, tym dziwniejsze w piśmie, powołanym jakoby do objęcia straży kulturalnej na ziemiach zachodnich.

awk

OPERA ZA TRZY GROSZE

Życie teatralne dzisiejszej Warszawy przypomina trochę las. Nie z powodu jego bujności, ale z przyczyny wyrastania „jak grzyby po deszczu" coraz to nowych imprez teatralnych. Niestety, nie są to okazy „prawdziwe", le pospolite „betki" lub, co gorzej, sztuki rzecz niejadalne. Po warszawskim lesie buszuje niedobry czarownik Ładosz i coraz to z niczego wyczarowuje nowy przybytek Melpomeny. Ostatnio niemal dosłownie „za trzy grosze" uruchomiono w Warszawie operę (!). To już nie „betka", ale potężny, krasny muchomor. Wiadomo, że kiedy między Wilanowem a Bielanami leżało tętniące życiem miasto, a nie jak dzisiaj dźwigający się z martwych Piotrowin naszej Stolicy, Warszawa nie mało miała kłopotu z kosztownym przedsięwzięciem operowym. Czyżby dzisiaj rzeczywiście warunki dla prowadzenia przez miasto opery były korzystniejsze niż wówczas?

Więc po co ta radosna twórczość?

Warszawa nie ma jak dotychczas ani jednego godnego siebie teatru, ale zyskała natomiast... operę, taką samą jaką od biedy można by uruchomić, dajmy na to, w Łowiczu czy Piotrkowie.

Miasto, które — jak dotychczas — nie umie sobie „poradzić" ze sprawą zorganizowania jednego dobrego teatru, ma ich już kilka z z przydatkiem „opery".

Po co Stolicy te pozory „bujności", skoro to jest bujność chwastów? Czy nie korzystniej dla kultury teatralnej Warszawy było by skoncentrować wysiłki — i dać Warszawiakom jeden dobry teatr?

Trzeba to koniecznie uczynić, aby z życiem teatralnym Warszawy nie było jak z ową damą, która otrzymawszy komplement, że jest „jak słowik", pytała, czy to z powodu głosu. Na co otrzymała odpowiedź:

„Nie, z powodu obłapiania się po krzakach!"

srd

CO NA TO „SPOŁEM"?

W okresie okupacji w Warszawie działał konspiracyjnie Instytut Wydawniczy „Społem". W roku 1942 Instytut za pośrednictwem swoich agentów literackich zakupił od autorów — jak nam wiadomo — dość pokaźną ilość rękopisów książek z myślą wydania ich po wojnie, w wyzwolonej już Polsce. Pomijamy już, że wówczas nawet — w 1942 roku Instytut nie zrealizował swoich zobowiązań wobec autorów. Przyjmijmy, że w warunkach okupacyjnych nie mógł ich zrealizować. W każdym razie nie ma potrzeby zalając, że wywiązywał się gorzej od spekulantów na podziemnym rynku wydawniczym.

Ale wojna się skończyła, a „Społem" milczy. Znikąd się nie można dowiedzieć, co się stało z zakupionymi przez Instytut rękopisami, ani w jaki sposób „Społem" zamierza zlikwidować swój stosunek z zainteresowanymi autorami.

„Społem" posiadało dostateczne środki techniczne dla zabezpieczenia zakupionych prac przed ewentualnymi skutkami działań wojennych.

Chcielibyśmy się dowiedzieć, co „Społem" uczyniło w tej dziedzinie i jaki jest obecny stan sprawy. Przecież dokonanie odpisów zakontraktowanych dzieł i ulokowanie ich w bezpiecznym miejscu było prymitywnym obowiązkiem nabywcy rękopisów, który wypełniło wielu prywatnych nawet przedsiębiorców wydawniczych.

Sprawa zresztą, prócz strony prawno-materialnej, ma swoje ogólniejsze znaczenie kulturalne.

Co na to „Społem"?

PRZYJRZYJMY SIĘ UWAŻNIE

Gdy starsza dama, chcąc przystroić swą minioną urodę, wkłada na głowę pięknie połyskujący diadem — nie gniewamy się o to, że oszlifowane szkiełka pozorują tu dostojność prawdziwych brylantów. Takie „mydlenie oczu" nic nam nie szkodzi. Przeciwnie. Jesteśmy taktowni i dyskretni, chętnie udajemy wiarę w autentyczność klejnotu.

Co innego, gdy taką to „damską" metodę stosuje się w sprawach o głębokim znaczeniu społecznym, gdy stosują to naprzykład nasi szermierze politykującego katolicyzmu. To nam szkodzi. To szkodzi wszystkim. I nie chcemy, aby w tym kraju kogokolwiek w dalszym ciągu wprowadzano w błąd. Mam na myśli konwulsyjne próby ze strony naszych publicystów katolickich wykrzesania świeżych blasków z mocno zachwianego w opinii publicznej świata autorytetu Pasterzy z Watykanu.

Jeżeli ten autorytet się zachwiał — nie stało się to bez powodu. Pocóż więc nadawać znowu pompatyczną i sztuczną wielkość rzeczom, które w przebiegu dziejów stały się niesławne i małe? Polityka Watykanu z ostatnich lat dwudziestu, a szczególnie z okresu wojny ostatniej, wszystkim rzetelnie patrzącym otworzyła oczy jaką to małość ubierano w szaty wielkości. Tym, którzy opłakują jeszcze zerwanie konkordatu, tym, którzy w dalszym ciągu jeszcze szukają w encyklikach rozwiązania dla zagadnień społecznych — mamy okazję znowu przypomnieć garść faktów, pokazujących bez potrzeby komentowania, jacy to ludzie i jakie to posunięcia polityczne kryją się pod infułami sterników Kościoła, niby „niezależnych", niby „ponad-narodowych".

Tą okazją jest książka z serii publicystycznych wydawnictw „Current Problems" Uniwersytetu w Cambridge. Książka nosi tytuł „The Rebuilding of Italy" i napisana jest z typowym dla publicystyki angielskiej przerostem ostrożności i refleksyjności. Autor M. H. H. Macartney, analizując współczesność Italji, cały rozdział poświęca roli Kościoła. Mowa tam zarówno o roli Kościoła w Italii faszystowskiej, jak i o problemach, które wyłaniają się obecnie w dziedzinie stosunków pomiędzy Watykanem a nowym Państwem Demokratycznym. Tendencja jest jedna: przeanalizowanie problemów jak najbardziej rzeczowo i wielostronnie. Książka pozbawiona specjalnej nuty propagandystycznej, dzięki czemu przytaczane fakty tym jaskrawiej mówią same za siebie. Wydana w 1945 roku.

„Istnieje zagadnienie" — czytamy — „które, wobec proklamowanej przez Zjednoczone Narody decyzji całkowitego wykorzenienia Nazizmu i Faszyzmu, nie może być traktowana przez Aliantów obojętnie. Mianowicie, w oczach wielu ludzi w Italii i poza Italią, Kościół Rzymsko-Katolicki był, obok Domu Panującego głównym filarem reżimu faszystowskiego, szczególnie w jego polityce zagranicznej... W wyniku Umowy Laterańskiej trochę pieniędzy przeszło z rąk do rąk, pewne zobowiązania zostały podpisane — i Watykan stał się wspólnikiem w faszystowskim reżimie."

Kler w Italii już od roku 1929 popierał ten reżim, a gdy w 1935 rozpoczęła się kampania abisyńska, Arcybiskup Milanu rozgłosił, że „Flaga Italii w tej chwili wnosi w tryumfie Krzyż Chrystusowy do Etiopji". A gdy Mussolini wciągnął Italię w obecną wojnę, natychmiast wielka ilość dostojników kościelnych poparła jego politykę poprzez listy pasterskie, wzywające lud do okazania jak największego patriotyzmu".

Wówczas też Arcybiskup Milanu w przemówieniu zapewnił żołnierzy włoskich, że „Bóg jest po ich stronie i przy człowieku, którego Opieka Boska tak łaskawie postawiła na czele nowej Italii". A Biskup Cremony: „niech Bóg błogosławi naszego kochanego Duce". Również entuzjastycznie ustosunkował się do udziału Italii w tej drugiej wojnie światowej Arcybiskup Gorizji, Biskup z Livorno i inni.

I chociaż w Osservatore Romano ogłoszono wówczas, że „zapatrywania i odpowiedzialność Watykanu są niezależne od zapatrywań i odpowiedzialności włoskiego kleru", to jednak Pius XII nie potwierdził tego swym postępowaniem: W kwietniu 1940 roku przyjął gen. Soddu, ówczesnego wiceministra wojny, co było uważane za chęć okazania swej lojalności w stosunku do Państwa i do reżimu. Podobnie traktowano przyjęcie w przededniu wojny Księcia Piemontu, który obejmował komendę w akcji przeciwko Francji. A zaś „w czasie niesławnego ataku na Grecję, Papież oświadczył, zebranym oficerom włoskim, że jest szczęśliwy błogosławiąc tych, którzy służą ukochanej ojczyźnie z lojalnością i zapałem... I nie otworzył swych ust, gdy padały bomby na angielskie kościoły i szpitale, zato wszczął głośne lamentacje, kiedy na krańcach Rzymu bombardowane były obiekty wojskowe przez lotników amerykańskich, którzy latali tylko w dzień, aby wykluczyć ryzyko pomyłek..."

Angielski autor rozważa też sprawę konkordatów i ich sprzeczności z duchem demokracji... Warto, aby z tą nową publicystyką angielską zapoznali się nasi konserwatyści, którzy w tej Anglii przecież widzą swoją ostoję.

I niech nikogo nie łudzą pozorami świętobliwej wielkości, która nie zdała egzaminu na wielkość. Stosunek Watykanu do spraw polskich jest nam też dobrze już znany. Jak wszędzie, tak i tu zbędna jest wszelka demagogia. Przyjrzyjmy się tylko rzeczom uważniej.

J. Ż.

Hitler żyje

„Robotnik" z dn. 7 bm. donosi:

W Bolesławcu (powiat wieluński, województwo łódzkie) banda NSZ-owców dokonała ohydnego morderstwa na ośmiu Żydach i dwóch Polakach. Zamordowani Żydzi powrócili niedawno do domu z obozów koncentracyjnych w Niemczech.

W dniu 11 listopada o godzinie 2-ej w nocy do mieszkania Szaji Kona wtargnęło szesnastu mężczyzn, ubranych w wojskowe mundury oraz uzbrojonych w automaty i granaty ręczne.

W mieszkaniu oprócz właściciela znajdowała się jego żona i brat. Bandyci, po steroryzowaniu swych ofiar, przeprowadzili dokładną rewizję, zabierając całe ich mienie. Następnie pobili ich do nieprzytomności, mówiąc: — „Wiecie już, jak biją Niemcy w obozach koncentracyjnych, teraz zobaczycie, jak biją Polacy".

Pobici Żydzi, nie czując się bezpiecznie w miasteczku, postanowili je opuścić w najbliższym czasie. Pozostali jednakże w Bolesławcu jeszcze kilka dni, aby zlikwidować swe osobiste sprawy. W obawie przed możliwością powtórnego napadu, sypiali u sąsiadów Polaków.

W dniu 28 listopada powrócili do miasteczka z obozu koncentracyjnego brat pobitych Jankiel Kon oraz Goldrat Moryc i Holc Pinkus.

NSZ-owcy widocznie śledzili Żydów, orientowali się, że nie sypiają oni w domu i wiedzieli o powrocie nowych Żydów, ponieważ już następnego dnia o godzinie 5 popołudniu otoczyli miasteczko, następnie wpadli do mieszkania Kona Szaji, gdzie spodziewali się wszystkich zastać, i w bestialski sposób zamordowali pięć osób.

Po stwierdzeniu, że tylko pięciu Żydów padło ofiarą ich ohydnego morderstwa, udali się na szosę prowadzącą z Wielunia do Bolesławca i tam oczekiwali na powrót reszty, mającej przyjechać z Wielunią samochodem do domu. Nadjeżdżające auto zostało powitane gradem kul, które posypały się z karabinu maszynowego. W rezultacie pięć osób zostało zabitych, a jedna ranna.

Wśród zabitych byli dwaj Polacy.

Bandyci, chcąc pokazać, że nie mieli zamiaru zabijać Polaków, że zostali oni zamordowani przypadkowo, zostawili miejscowej ludności 2 tysiące złotych jako zwrot kosztów ich pogrzebu i na leczenie rannego Polaka.

Bandy NSZ-owskie mordują niewinnych ludzi, którzy po kilku latach najokropniejszych przeżyć w obozach koncentracyjnych powracają do domu. Metody hitlerowskie stosowane są w dalszym ciągu przez zwyrodnialców. Dla tych bandytów nie ma miejsca wśród polskiego społeczeństwa!

Zabójstwo Bolesława Ścibiorka

Dobrze zamiecione są ślady morderstwa, popełnionego na Bolesławie Ścibiorku. Tak dobrze, że sama technika już wskazuje na jego sprawców.

Tylko jedna grupa polityczna w Polsce rozwinęła do tego stopnia technikę skrytobójstwa. Tylko jedna grupa polityczna w Polsce nie jeden już raz kładła trupem ludzi bliskich jej, nieraz własnych, aby osiągnąć przez to określone cele polityczne, regulując zarazem porachunki we własnym obozie. Tą grupą jest wewnętrzne jądro piłsudczyzny, wywodzące się z najbliższego kręgu „Komendanta", jądro, którego reprezentantem na zewnątrz jest w tej chwili generał Kazimierz Sosnkowski.

Sens skrytobójstwa, popełnionego na Bolesławie Ścibiorku jest jasny. Sprawcom chodziło o skłócenie tych chłopów, którzy idą za Polskim Stronnictwem Ludowym, z dzisiejszą rzeczywistością polską, o wytworzenie u nich przekonania, że ich działacze nie są pewni życia, o ułatwienie najbardziej reakcyjnym elementom PSL-u dalszego przeciwstawiania PSL blokowi stronnictw demokratycznych, utrudnienie współpracy w ramach Rządu Jedności Narodowej. To był tego skrytobójstwa cel główny i naczelny.

Przy sposobności zresztą załatwiono i porachunek uboczny. Wiadomo, że pobyt ś. p. Ścibiorka wraz z delegacją młodzieży polskiej w Moskwie, że poszczególne jego wystąpienia traktowane były przez przenikające dziś do PSL-u elementy „londyńskie" niemal jako zdrada.

Czy morderstwo, popełnione na ś. p. Ścibiorku, osiągnie, bodaj w części, swój cel. Niektórzy przywódcy PSL robią co mogą — szeptaną propagandą i rzucanymi tu i ówdzie półsłówkami — aby tak właśnie się stało. Czy zdrowy instynkt chłopskich dołów PSL okaże się dość odporny na tę truciznę? Chcemy wierzyć, że tak będzie — to nie tylko w interesie PSL-u lecz i w interesie ogólnego uzdrowienia atmosfery politycznej w kraju.

Niech będzie nam wolno przypomnieć okres sprzed kilku laty, kiedy to polski „Londyn" (a niektórzy dzisiejsi przywódcy PSL w jego liczbie) stał się aż nazbyt chętną ofiarą goebbelsowskiego tricku „Katyńskiego". Nie ulega chyba dziś wątpliwości dla nikogo, nawet dla wicepremiera Mikołajczyka, że stało się to wtedy z wyraźną szkodą dla Polski. Morderstwo łódzkie ma, oczywista w nieporównanie mniejszej skali, wszystkie cechy „katyńskiej" prowokacji.

Ma nawet i tę, że jest, niewątpliwie, w niemałym stopniu XX owocem obcej konspiracji.

Są jeszcze zagranicą czynniki, którym zależy na tym, aby w Polsce nie było spokoju, aby rozwój spraw politycznych w Polsce dokonywał się nie na drodze spokojnej ewolucji, lecz krwawych zaburzeń i konfliktów. Nie są one wybredne w szukaniu agentur, jak Sosnkowszczyzna nie jest wybredna w szukaniu inspiratorów.

Ludwik Walczak

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D-06302
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 21,—, kwartalna zł 63,—.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.